WYŻSZA SZKOŁA EKONOMICZNA
W GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 8 stron **Warszawa, 21 stycznia 1951 r.** **Nr 3 (43) Rok II**

W NUMERZE m. in.: **Bertold Brecht** — Jak tkacze dywanów z Kujan - Bułak uczcili Lenina;; Jak przyszłość osądzi naszych pisarzy; **Stanisław Marczak-Oborski** — Rozprawa trwa; **Wacław Nałkowski** — Krytyka „Legendy" Brzozowskiego. (Fragmenty); **Stefan Żółkiewski** — O Wacławie Nałkowskim; **Stefan Heym** — Czarna lista; **Michał Sałtykow-Szczedrin** — Z dziejów pewnego miasta (Fragmenty); **Erwina Groten-Sonecka** — Dziennikarz Troff walczy o prawdę; **Jerzy Płażewski** — Propozycje filmowe (4); **Wawrzyniec Żuławski** — Prawykonanie utworów polskich w Krakowie; **Kazimierz Koźniewski** — Węgierska walka z kułakiem.

JERZY PUTRAMENT

ZADANIA LITERATURY POLSKIEJ w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój

(Fragmenty referatu wygłoszonego na Plenum Zarządu Głównego Z.L.P.)

W literaturze polskiej od początku dominowała postawa służby społecznej. Rzecz prosta, w ciągu 400 lat jej istnienia zdarzały się momenty, gdy postawa ta słabła, gdy zjawiały się tendencje aspołeczne. Z grubsza biorąc, można je zaobserwować w dwóch okresach: od drugiej połowy wieku XVII-go do Oświecenia oraz w okresie „Młodej Polski" i dwudziestolecia. Oczywiście i w tym czasie nie brakowało pisarzy o wyraźnie społecznej postawie, pisarzy, dla których ich dzieło było wkładem w walkę o drogie dla nich ideały i w tym czasie nie brakowało w literaturze nurtów postępowych, w okresie 20-lecia nawet rewolucyjnych, można jednak przyjąć, że w obu powyższych epokach główny nurt tracił swój społeczny, postępowy charakter. Przyczyna tego zjawiska jest nader prosta: Obie te epoki zbiegają się z okresem rozkładu rządzącej podówczas klasy społecznej, proces obumierania pewnego ustroju nie może nie pociągnąć za sobą kryzysu, rozkładu, upadku tak czołowego elementu samoświadomości społeczeństwa, jak literatura.

Oba te okresy były w historii naszej literatury okresami niżu. Aby dzieło literackie miało cechy wielkości, oprócz talentu autor musi mieć poczucie, że dzieło to może zaważyć na losach jego bliźnich, że może dopomóc im w troskach ich bytowania. Nie mieli i nie mogli mieć tego poczucia ci pisarze rozpadającej się republiki szlacheckiej, którzy przyjmowali ją jako słuszną formę stosunków międzyludzkich. Nie mieli i nie mogli mieć tego poczucia ci pisarze okresu rozpadania się kapitalizmu, którzy nie dostrzegli w chaosie społecznym i moralnym tego okresu siły, zdolnej rozbić ustrój kapitalistyczny, zamienić go przez nowy, lepszy i sprawiedliwy, cóż dopiero tacy, którzy w procesach gnicia kapitalizmu potrafili doszukiwać się wdzięku i smaczków.

I na odwrót, okresy, w których społeczne pojmowanie zadań pisarza dominowało, w których główny nurt miał charakter postępowy — zbiegają się z okresami wyżu naszej literatury.

Przypominam to elementarne prawo, po to ,aby podkreślić jeszcze raz, że społeczna postępowa postawa, która dominuje dziś w naszej literaturze nie zjawia się u nas po raz pierwszy, nie jest jakimś wyjątkiem, na odwrót, dominowała ona u nas zawsze. Jest ona wspólnym mianownikiem tak różnych historycznie zjawisk jak humanizm Kochanowskiego, oświecenie Krasickiego, romantyzm Mickiewicza i Słowackiego, realizm krytyczny wczesnego Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, częściowo Żeromskiego, wreszcie nurt rewolucyjny Broniewskiego i Wasilewskiej i dzisiejsze początki realizmu socjalistycznego.

Osobliwości naszego rozwoju historycznego, opóźnienie naszego kapitalizmu i stosunkowo wczesne wkroczenie w okres budowy socjalizmu, sprawiają, że drugi okres dominowania tendencji społecznych w naszej literaturze trwał względnie krótko. Bliżej nam do naszych realistów krytycznych, realizm socjalistyczny w naszej literaturze łatwiej może obalić system wartości, odziedziczony po dwudziestoleciu i Młodej Polsce, niż np. postępowy nurt dzisiejszej Francji w stosunku do swojej literatury upadającej burżuazji.

Realizm socjalistyczny, jako postawa literatów państwa robotniczo-chłopskiego, jako kierunek literatury epoki socjalizmu nawiązuje do najszczytniejszych tradycji polskiej literatury. Przejmuje on od Kochanowskiego, Mickiewicza, Prusa, Żeromskiego ich umiłowanie człowieka, ich nienawiść do ucisku, ich walkę o sprawiedliwość społeczeństwa, społeczeństwo uwolnione od wyzysku, nędzy, ciemnoty.

Różni nas od nich starsza świadomość, większe doświadczenie historyczne. Wiemy, że nie zagadkowy bohater o zaszyfrowanym imieniu, nie tajemniczy uczony, nie samotny inteligent — ofiarnik czy filantrop potrafią dokonać cudu zapewnienia temu krajowi i jego ludziom wolności i szczęścia. Siła, o której marzyli, której przewidzieć nie mogli czy nie potrafili — siła, zdolna poruszać góry, przesuwać rzeki, pustynie zamieniać w lasy, ludzi uwolnić od poniżenia — siła ta rośnie na naszych oczach. Klasa robotnicza, prowadzona przez swoją rewolucyjną partię, uzbrojona w marksizm - leninizm, sprzymierzona z narodami ZSRR, z partią Stalina — jest tą siłą, która dźwiga naprzód nasz naród i nasz kraj w niewidzianym u nas tempie.

Uzbrojeni w teorię marksizmu-leninizmu, teorię Marksa, która naukową precyzję łączy z żarliwością ideową, nawiązujemy do drogi naszych literackich przodków. Tam, gdzie dla nich było anonimowe nieszczęście, umiemy dzisiaj nazwać po imieniu jego przyczyny. Choroby, których zewnętrzne objawy opisywali oni tak przejmująco — potrafimy nie tylko zanalizować, potrafimy także wskazać terapię. Tam, gdzie ukazywali współczesnym i potomności nonsens i okrucieństwo swoich czasów nie umiejąc wskazać na to ratunku, lub, świadomi swojej słabości, maskując ją w mglistych symbolach i mistycznych formułach — my możemy się zdobyć na dokładne wskazanie, gdzie los ludźmi został zwichnięty przez niedokładność społeczną i jak można go wyprostować.

Nie mówię tego tu po to, by się chełpić naszymi przewagami nad romantykami czy realistami krytycznymi, aby, podkreślając ich słabości, dyskwalifikować ich czy się wyrzekać. Nic bardziej obce nie jest marksizmowi jak mechaniczne stosowanie dzisiejszych kryteriów wartościowania w stosunku do epok historycznych. Z okazji rocznicy Żeromskiego mogliśmy zobaczyć, że zrozumienie tego pewnika nie jest powszechne w środowisku literackim. Znaleźli się u nas tacy, którzy dyskwalifikowali Żeromskiego w czambuł, zapominając, że przy wszystkich jego słabościach w jego epoce nie było odeń pisarza o bardziej postępowej postawie. Dziś chyba nie trzeba dowodzić, jak błędne, nie marksistowskie jest takie stanowisko.

Na odwrót, porównując początki realizmu socjalistycznego w Polsce z najszczytniejszymi okresami naszej literatury, wskazując na podobieństwa i różnice — chciałbym podkreślić głęboki, organiczny nasz związek z wielkimi romantykami polskimi czy realistami epoki pozytywizmu. Jesteśmy spadkobiercami wszystkiego, co najlepsze, co przetrwało z 400 lat istnienia naszej literatury. Jesteśmy dumni, że należymy do literatury Mickiewicza. Jesteśmy dumni, że przypadło nam w udziale dźwignąć ją naprzód.

O realizmie socjalistycznym dużo u nas mówiono ogólnie, znakomita większość literatów przyjęła jego pozycję. Dlatego nie będę do ogólnych sformułowań powracał. Wydaje mi się natomiast ważne omówienie konkretnych zadań, stojących przed naszą literaturą na progu drugiego roku planu sześcioletniego na tle konkretnych założeń realizmu socjalistycznego.

Wiemy, że plan sześcioletni przewiduje ogromny wzrost produkcji przemysłowej naszego kraju. Wykonanie planu zapewni naszemu krajowi nadrobienie opóźnień swego rozwoju gospodarczego, daje bazę dla dalszej rozbudowy gospodarczej i kulturalnej, możliwej tylko w warunkach socjalizmu. Z opóźnionego, półkolonialnego kraju, w którym dwie trzecie ludności utrzymywało się z uprawy roli, mamy stać się krajem przemysłowym. Nie karłowate gospodarstwo rolne, uprawiane łopatą i sochą, nie znające sztucznych nawozów, nie mogące nawet wyżywić tych, co je uprawiają — stanie się typowym dla rolnictwa polskiego, jak to było przed wojną, ale wieś w dużej części zelektryfikowana i zaopatrzona w maszyny rolnicze, w sztuczne nawozy, wieś przechodząca dobrowolnie na wyższy szczebel gospodarki zespołowej. Przemysł nasz, przed wojną zależny w dużej mierze od zagranicy, więc rozbudowany u nas głównie dla wykorzystania taniej siły roboczej, pierwszy padający ofiarą byle kryzysu, byle wahnięcia giełdy światowej, zacofany, prymitywny, o przewadze drobnych półrzemieślniczych zakładów, o dużej przewadze przemysłu przetwórczego — stanie się nowoczesnym przemysłem o zdrowej bazie, opartej o przemysł ciężki, o węgiej i stal, przemysłem uniezależnionym od kapitalizmu światowego, więc nie podlegającym tym wahaniom koniunktury, które w latach kryzysu rozwalają gospodarkę państw słabszych, nie podlegającym tym naciskom amerykańskich karteli ,które potrafią nawet takie wczorajsze mocarstwa, jak Francja zepchnąć do tyłu, zahamować ich ciężki przemysł, zamiast wytopu stali skazać na sadzenie karczochów.

Plan sześcioletni, plan uprzemysłowienia Polski, plan budowy podstaw socjalizmu jest jednocześnie planem utrwalenia prawdziwej niepodległości naszego kraju. Wykonanie tego planu jest dla nas sprawą najważniejszą, najpilniejszą, wymagającą największego i codziennego wysiłku. Sprawę tę winniśmy położyć w centrum naszej uwagi, jej poświęcić największy nasz twórczy wysiłek.

Jaki jest pierwszy warunek wykonania 6-letniego planu?

Wzrost produkcji w tym okresie jest tak znaczny, że nawet przyjście dodatkowego miliona ludzi do przemysłu przy dzisiejszej wydajności pracy robotnika polskiego nie rozwiązuje tego zagadnienia. Mówi się czasem o kimś, że pracuje za dwóch. Otóż plan sześcioletni można wykonać, jeśli każdy nasz robotnik, każdy pracujący będzie pracował prawie za dwóch. Wystarczy zrozumieć dobrze co to znaczy, wystarczy wyciągnąć z tego wszystkie konsekwencje — aby mieć gotowy plan działania dla naszej literatury w latach najbliższych.

Wzrost wydajności pracy, kardynalny warunek wykonania planu sześcioletniego, może być osiągnięty przy zastosowaniu szeregu różnorodnych akcyj. Więc system premiowania pieniężnego za przekroczenie normy. Więc na odwrót, administracyjne karanie łazików i bumelantów. Więc rozpowszechnienie, udoskonalenie współzawodnictwa socjalistycznego. Więc rozwijanie ruchu racjonalizatorskiego w rozmaitych dziedzinach produkcji. Każda z tych akcji jest niezbędna. Ale wszystkie, razem wzięte, są niewystarczające.

Klasa robotnicza Polski potrafi zdobyć się na podwojenie swojej siły — tylko wtedy, jeśli każdy jej przedstawiciel zrozumie w pełni konieczność historyczną swego zdwojonego wysiłku, jeśli ujrzy wielkość tego zadania, jeśli się do niego zapali.

Uświadomienie polityczne naszej klasy robotniczej ,której bojowe rewolucyjne tradycje są dobrze znane, jest oczywiście duże, czego dowodem są liczne czyny produkcyjne, wykonywane przez nią zwłaszcza w ostatnich latach, wykonania przed terminem pierwszego roku planu sześcioletniego, wiele pomysłów racjonalizatorskich itd.

Nie zmienia to jednak faktu, że właśnie literatura polska w tej sprawie może i musi odegrać rolę decydującą. Naszym najpierwszym zadaniem jest stworzenie dzieł, które by ukazały wielkość zadań, stojących przed polską klasą robotniczą, przed polskimi masami pracującymi w okresie planu sześcioletniego i walki o pokój. Winniśmy ukazać w dziele artystycznym te zadania, które przed naszym narodem postawiła Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, które postawił jej przewodniczący Bolesław Bierut. W dziele artystycznym — to znaczy w uogólnionym, typowym ale konkretnym i plastycznym obrazie, w uogólnionej, typowej ale konkretnej i plastycznej postaci, w uogólnionej, typowej ale konkretnej i plastycznej sytuacji fabularnej, w uogólnionym, typowym ale konkretnym i plastycznym konflikcie dramatycznym.

Siła, specyfika oddziaływania literackiego polega na tym, że łączy ono przypadkowość, jednorazowość, doraźność dziennikarskiego reportażu z uogólnieniem formuły politycznej w niepowtarzalny konkretny i typowy zarazem obraz artystyczny. Siła, specyfika artystyczna polega właśnie na tym, aby nie nagą formułą polityczną, nie doczepionym politycznym komentarzem, ale logiką obrazów, postaci, rozwoju konfliktu przekazywać odbiorcy słuszną treść polityczną. Obraz artystyczny dłużej i głębiej zapada w świadomość ludzką niż najczęściej powtarzane slogany. Nie przypadkiem nazwał Stalin pisarzy inżynierami dusz ludzkich.

✻

Przyjmując jako główny cel naszego wysiłku twórczego dzieła, które by dopomogły polskiej klasie robotniczej, polskim masom pracującym, naszej młodzieży w wykonaniu planu sześcioletniego nie powinniśmy celu tego pojmować ciasno czy płytko, nie powinniśmy zapominać także o celach drugorzędnych.

Byłoby szkodliwym ograniczeniem poprzestanie wyłącznie na tematyce produkcyjnej, byłoby niesłuszne poprzestanie na tematyce współczesnej. Tematyka współczesna i w jej granicach tematyka produkcyjna są najważniejszym, najpilniejszym naszym zadaniem. Winniśmy to podkreślać na każdym kroku, winniśmy wszelkimi drogami ułatwiać pisarzom przyjmowanie tej tematyki, ułatwiać pokonywanie trudności, zachęcać i zagrzewać ich w tej pracy. Ale to nie znaczy, że tematyka historyczna np. ma być u nas porzucona. Na odwrót, właśnie teraz jest najwyższy czas, aby spojrzeć na naszą przeszłość dalszą i bliższą oczyma uwolnionymi od optycznych błędów historii burżuazyjnej. Literaci dzisiejsi, zapoznający się coraz gruntowniej z marksizmem są jak astronomowie, którym wreszcie dano do ręki precyzyjny teleskop. Możemy dzisiaj z tego gąszczu ważnych i błahych wydarzeń pomieszanych ze

(Dokończenie na str. 2)

WŁODZIMIERZ LENIN ŻYJE WŚRÓD NAS

Pomnik Lenina w Poroninie

...Pisarz popularny doprowadza czytelnika do głębokiej myśli, do głębokiej teorii, wychodząc z najprostszych i powszechnie wiadomych danych, wskazując za pomocą nieskomplikowanych rozumowań lub trafnie dobranych przykładów główne wnioski płynące z tych danych, naprowadzając myślącego czytelnika na coraz to nowe zagadnienia. Pisarz popularny nie liczy na nie myślącego, nie chcącego czy też nie umiejącego myśleć czytelnika — przeciwnie, w mało oświeconym czytelniku zakłada poważne dążenie do pracy umysłowej i pomaga mu w tej poważnej i trudnej pracy, prowadzi go, pomagając mu stawiać pierwsze kroki, ucząc go kroczyć dalej samodzielnie. Pisarz wulgarny liczy na czytelnika nie myślącego i do myślenia niezdolnego, nie naprowadza go na podstawowe elementy poważnej nauki, lecz w postaci wykoślawionej i uproszczonej, zaprawionej żarcikami i pogaduszkami, prezentuje mu „gotowe" wszystkie wnioski danej teorii, tak że czytelnikowi nie pozostaje nawet nic do przeżuwania — pozostaje mu tylko połknąć tę papkę.

LENIN (1901)

BERTOLD BRECHT **przełożył ADOLF SOWIŃSKI**

JAK TKACZE DYWANÓW Z KUJAN-BUŁAK UCZCILI LENINA

1.

Nieraz doznawał żarliwej czci
towarzysz Lenin. Odlano popiersia i posągi.
Miasta i dzieci nazwano jego imieniem.
Wygłoszono mowy w najrozmaitszych językach.
Ku czci Lenina odbywają się wiece
i demonstracje od Szanghaju aż do Chicago.
Tak zaś go uczcili
tkacze dywanów z Kujan-Bułak,
małej osady w południowym Turkiestanie:

Trzęsąc się w febrze dwudziestu tkaczy dywanów
stoi wieczorem przed prostymi krosnami.
Krąży febra: dworzec kolejowy
napełnił się brzękiem komarów, gęstą chmurą,
która podnosi się z bagna za starym cmentarzem wielbłądów
Tymczasem kolej, która
co dwa tygodnie przywozi wodę i dym, przywiozła
pewnego razu wiadomość,
że zbliża się dzień przeznaczony ku czci towarzysza Lenina,
a więc ludzie z Kujan-Bułak,
tkacze dywanów, biedni ludzie,
postanawiają, żeby towarzyszowi Leninowi i w ich osadzie
wystawić gipsowe popiersie.
Kiedy odbywa się zbiórka pieniędzy na popiersie,
wszyscy stoją
wstrząsani febrą i podają
latającymi rękami w trudzie zdobyte kopiejki.
A czerwonoarmista Stiepa Gamalew, który
skrupulatnie liczy i ma bystre oko,
Widzi gotowość oddania czci Leninowi, i cieszy się,
ale widzi również niepewność rąk.
I nagle występuje z wnioskiem,
aby za pieniądze na popiersie kupić nafty
i wylać ją na bagnisko za cmentarzem wielbłądów,
skąd przylatują febrotwórcze
komary.
Tak należy pokonać febrę w Kujan-Bułak, i to
ku czci zmarłego, ale
żywej na zawsze pamięci
towarzysza Lenina.

Ludzie powzięli uchwałę. W dzień przeznaczony ku czci Lenina
ponieśli — idąc gęsiego —
pogięte wiadra, pełne czarnej nafty,
za osadę i polali tą naftą bagnisko.

Tak pomogli sobie, oddając cześć Leninowi,
a uczcili Lenina, pomógłszy samym sobie, i tak go właśnie
pojęli.

2.

Dowiedzieliśmy się, jak ludzie z Kujan-Bułak
oddali cześć Leninowi. Kiedy wieczorem
kupiono naftę i wylano ją na bagnisko,
wstał na zebraniu ktoś i zażądał,
ażeby na dworcu kolejowym umieścić tablicę
z opisem tego zdarzenia i ścisłą informacją
o zmianie pierwotnego planu, o zamianie
popiersia Lenina na febrobójczą beczkę nafty.
To wszystko ku czci Lenina.
A więc zrobili tak
i umieścili tablicę.

BERTOLD BRECHT **przełożył JACEK BOCHEŃSKI**

JAK PRZYSZŁOŚĆ OSĄDZI NASZYCH PISARZY

1.

Ci, co zasiedli na złotych krzesłach i piszą,
pytani będą o tkaczy,
którzy robili im ubrania.
Z ich książek nie będą wyszukiwane
wzniosłe myśli.
Natomiast jedno podrzędne zdanie,
które pozwoli wnioskować o pewnej sprawie tkaczy
sposobiących pisarzom ubrania,
czytane będzie z ciekawością i uwagą, ponieważ
tu właśnie chodzić może o wizerunek sławnych przodków.

Wielkie literatury,
złożone z przemyślnie dobranych wyrażeń,
badane będą w celu odkrycia znaku,
że tam gdzie była niewola, żyli powstańcy.
Modlitwy wznoszących się ponad rzeczy ziemskie
opowiadać będą, że w tym czasie
mieszkańcy ziemi siedzieli na karkach innych mieszkańców ziemi.
Drogocenna muzyka słów będzie jedynie świadczyć,
że wielu ludzi cierpiało głód.

2.

Lecz w tym samym czasie uwielbiani będą
ci, co siedzieli na gołej ziemi, pisząc,
ci, co siedzieli wśród ludzi małych,
ci, co siedzieli przy bojownikach,
ci, co mówili o cierpieniu ludzi prostych,
ci, co mówili o czynach bojowników
mową piękną i szlachetną,
zastrzeżoną uprzednio
dla uświetniania królów.

Ich pieśni o rzeczach złych, ich orędzia
będą na sobie niosły ślad
ręki człowieka prostego. Bo tym ludziom
zostały dane, oni je ukrywali
pod zabrukaną koszulą, oni przenosili
przez policyjne kordony
do towarzyszy.

Nadejdzie istotnie czas,
kiedy mądrzy i dobrzy,
gniewni i pełni nadziei,
którzy siedzieli na gołej ziemi, pisząc,
którzy otoczeni byli przez lud i jego bojowników,
będą publicznie uwielbiani.

1939

Zadania literatury polskiej w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój

(Dokończenie ze str. 1)

sobą bez żadnego poczucia proporcji i hierarchii, którym jest burżuazyjna historia, wybrać i ustawić wypadki i postacie w ciągach przyczynowych i według ich własnych wymiarów. Możemy i powinniśmy prócz tego oczyścić wizję naszych dziejów ze świadomego zakłamania, którego w celach najzupełniej doraźnie politycznych nie szczędzili pisarze polscy epoki szlacheckiej czy burżuazyjnej. Rola szlachty w naszej przeszłości, istotne przyczyny wojen z Rusią, nieludzki ucisk chłopa polskiego czy ukraińskiego, przyczyny rozbiorów i nieudanych powstań, dzieje ruchu robotniczego, aż po prawdziwy obraz Polski burżuazyjnej, prawdziwy obraz wojny wrześniowej, okupacji i walki zbrojnej z okupantem, aż wreszcie po najświeższy, ale już historyczny okres obejmowania władzy w wyzwolonej Polsce przez masy pracujące — wszystko to są tematy albo wcale albo niedostatecznie albo fałszywie w naszej literaturze przedstawione.

Wulgaryzatorzy marksizmu, wulgaryzatorzy z polska mówiąc „spłyciarze" realizmu socjalistycznego bąkają chwilami o zbyteczności, czy nawet szkodliwości liryki. Jest ich na szczęście u nas nie dużo i wpływu istotnego na te sprawy nie potrafią oni wywierać.

Liryka jest nam potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, dlatego przede wszystkim, że społeczeństwo socjalistyczne jest w swej istocie najprawdziwiej, najgłębiej humanistyczne. Nasza wolność ludzka nie jest wolnością dla silnego drapieżcy, nie jest wolnością panoszenia się kosztem poniżenia słabszego. Dlatego stosunki między ludźmi układają się u nas w nowej, zdrowej i czystej atmosferze. Dlaczegóż uczucia ludzkie nie miałyby znaleźć u nas oblicza w swej najbardziej skrystalizowanej, najsilniej nasyconej formie lirycznej.

Są jednak dwa zastrzeżenia. Po pierwsze wiersz liryczny, jeśli chce znaleźć właściwe przyjęcie w szerokich rzeszach naszych nowych czytelników, jeśli chce dotrzeć do najcenniejszych naszych odbiorców — młodzieży robotniczo-chłopskiej— musi wyrażać uczucia jej bliskie i powszechne. Stąd artystycznym kłamstwem byłaby u nas liryka pesymistyczna. W społeczeństwie rosnącym, w społeczeństwie, w którym po raz pierwszy w dziejach do kultury dochodzą naprawdę milionowe rzesze ludowe, nie może być innych uczuć zbiorowych, jak uczucia walki, tak, pokonywania trudności, tak, ale przede wszystkim uczucia wiary w wielką i jasną przyszłość.

Liryka pesymistyczna w dzisiejszej chwili wyrażałaby uczucia resztek wrogiej nam klasy społecznej, agentury szpiegowskiej, przegniłej emigracji. Tam byłaby ona na miejscu. Nie przypadkowo autorem cytowanego przez premiera Cyrankiewicza na czerwcowym zjeździe wiersza, w którym widzi się świat oczami szczura — jest emigrant. Jesteśmy ludźmi, ludźmi nowego społeczeństwa, społeczeństwa, które wyzwoli nas z poniżenia, strachu, słabości. Nic ludzkiego, w tym wysokim, jasnym słowa tego znaczeniu nie jest nam obce. Wszystko co nieme, podłe i brudne zostawiamy tym zeszczurzałym dzisiaj niedobitkom ciemnego wczoraj.

Fałszem także artystycznym byłoby również szukanie pozornych, a conajmniej nieistotnych konfliktów uczuciowych między sprawami tzw. osobistymi a obowiązkiem społecznym.

Istnieje wreszcie cały szereg innych torów tematycznych, które nie leżąc w ośrodku naszych zainteresowań, wiążą się jednak z tym głównym celem, jakim jest dla nas najszerzej pojęte dopomożenie naszej klasie robotniczej, naszym masom pracującym w wykonaniu planu sześcioletniego. Bowiem, wykonując to zadanie powinniśmy pamiętać, że robotnik nasz nie jest już tym ciemnym, zahukanym robotnikiem np. czasów Prusa czy nawet Żeromskiego. Świat jego zainteresowań wzrósł niepomiernie razem ze wzrostem jego roli społecznej od wyzyskiwanej siły roboczej do gospodarza całego kraju. Dlatego jest u nas miejsce dla wszelkiej tematyki, która by mogła jego krąg świadomości rozszerzyć czy pogłębić.

Wtórnym ale nieprzebrzmiałym jeszcze celem naszym jest dopomożenie naszej inteligencji w przełamaniu zastrzeżeń i oporów w stosunku do Polski ludowej, które istnieją niewątpliwie w pewnych, zresztą zwężających się jej kołach. Cel ten jest wtórny dlatego przede wszystkim, że dobre dzieło, na wysokim poziomie politycznym i artystycznym odpowiadające wymogom pierwszego celu musi działać i w tym, podrzędnym kierunku. Dzieło, które opiewa patos wielkiej budowy, podnosząc świadomość i zapał robotnika, musi jednocześnie przyśpieszać dojrzewanie ideowe inteligencji. Są jednak problemy i konflikty typowo inteligenckie, których waga dla naszego robotnika jest wtórna, które jednak mogą jeszcze mieć u nas rację bytu na marginesie głównego nurtu naszej twórczości.

Zważywszy, że największy wkład, jaki Polska wnieść może w walce o pokój — jest wzrost gospodarczy, polityczny i kulturalny jej, jako jednego z ważnych elementów światowego obozu pokoju — każdy nasz sukces literacki w walce o plan sześcioletni jest jednocześnie sukcesem w walce o pokój. Są jednak tematy bezpośrednie ze sprawą pokoju związane. Pierwszym i najważniejszym z nich jest temat braterstwa i przyjaźni z potężnym Związkiem Radzieckim, ostoją pokoju na świecie, tą siłą, która zapewniła nam wolność i dzisiaj broni nas przed imperialistami. Ukazanie naszym rodakom całej wielkości tego, czyjego imieniem będzie nazwana nasza epoka — oto ważne i zaszczytne zadanie, które, mimo kilku dzieł z pięknym poematem Broniewskiego na czele nie jest jeszcze spełnione. Proletariacki internacjonalizm, przyjaźń z narodami demokracji ludowych NRD, przyjaźń i braterstwo z bojownikami o pokój na całym świecie, z klasami pracującymi krajów kapitalistycznych, z ludami krajów kolonialnych i z drugiej strony przedstawienie zwierzęcego oblicza dzisiejszego kapitalizmu, zdemaskowanie mitu o zachodnim liberaliźmie — tematy te wchodzą organicznie do najważniejszych naszych zadań, ich waga jest zbyt oczywista, aby wymagała obszerniejszych uzasadnień.

✠

W płaszczyźnie osiągnięć praktycznych notujemy dziś przejście całej niemal naszej młodzieży, szeregu pisarzy średniego pokolenia i niektórych starszych do prób stosowania w twórczości metody realizmu socjalistycznego. Próby te dały już pierwsze wyniki pozytywne we wszystkich rodzajach literackich.

Czy to znaczy, że to przejście odbywa się bez przeszkód i zahamowań? Czy to znaczy, że w tej chwili możemy się już poszczycić wielkimi rezultatami? Mówić tak, zachłystywać się powodzeniami, nie doceniać trudności, a zwłaszcza nie analizować ich, przymykać na nie oczy — to znaczy wyrządzać niedźwiedzią przysługę naszej nowej literaturze.

Wydaje mi się, że w tej chwili są dwie najpoważniejsze przeszkody w dalszym rozwoju u nas realizmu socjalistycznego.

Po pierwsze — płytkie, ogólnikowe, często błędne jego pojmowanie.

Po drugie — niedostrzeganie lub niedocenianie u wielu literatów najważniejszego naszego odbiorcy— polskiej klasy robotniczej, mas pracujących naszej robotniczo-chłopskiej młodzieży.

O realiźmie socjalistycznym mówi się i pisze u nas dużo. Ale nasza krytyka nie umie jeszcze w pełni, analizując konkretny utwór — ukazać, jak ta metoda wygląda w praktyce.

Stąd takie zjawiska, dostrzeżone przez nas przy poprzedniej analizie — jak próby wulgaryzacji realizmu socjalistycznego, zacieśnianie np. zakresu liryki, fałszywe pojmowanie zadań satyry, błędny, antymarksistowski stosunek do naszej przyszłości literackiej.

Stąd — częściowo — zjawisko stylizowania swojej twórczości — u poetów — pod kierunek, typ, czy indywidualność poetycką, uznane za wzorowe. Groźne zjawisko, bo kompromitujące realizm socjalistyczny, jako rzekomo kierunek zabijający oryginalność twórczą.

Stąd wreszcie rażące uproszczenia w twórczości pewnych poetów, niechlujstwo, bylejakość.

Zjawiska te świadczą, że w świadomości pewnych naszych pisarzy pojęcie realizmu socjalistycznego jest płytkie i ciasne, więc błędne, szkodliwe.

Nie rozumieją oni, że literatura budowy socjalizmu nie rezygnuje z żadnej z wielkich dziedzin oddziaływania na psychikę ludzką. Że przy realizmie socjalistycznym wiersz musi wzruszać, satyra śmieszyć, powieść zaciekawiać, dramat trzymać w napięciu. Oczywiście, wzruszenie poetyckie nie będzie się wywodziło ze szczurzych przeżyć, satyra nie będzie błazeńska, powieść będzie zaciekawiała nie kryminalnymi czy pornograficznymi przygodami, napięcie dramatyczne będzie polegało nie na trójkącie małżeńskim. Życie duchowe klasy robotniczej nie jest uboższe od mieszczaństwa, jest za to czystsze, wznioślejsze, jasne i dalekowzroczne.

Ci, którzy realizm socjalistyczny widzą, jako ograniczenie sfery oddziaływania dzieła literackiego na psychikę ludzką są może nieświadomymi, ale nie mniej groźnymi sprzymierzeńcami resztek rozgromionych ideologicznie metafizyków czy formalistów, bo nie gorzej od innych hamują lub wypaczają rozwój realizmu socjalistycznego.

Stylizacja czy niechlujstwo — rozpowszechnione u pewnych poetów świadczy, że nie wiedzą oni o wielości indywidualnych stylów w ramach realizmu socjalistycznego i że z gruntu błędnie traktują naszego nowego odbiorcę. Nasz robotnik, nasza młodzież — są o wiele bardziej wymagający jako czytelnicy od mieszczucha, — tylko, że wymagania ich są inne, głębsze, bardziej zasadnicze. Tacy pisarze, którzy sądzą że dla robotnika można pisać bylejak, nie wysilając się, na odczepnego — nie omieszkają się przekonać, że są w grubym błędzie.

Cały szereg zjawisk świadczy, że sporo pisarzy nie dostrzegło jeszcze nowego odbiorcy i że przyjęcie realizmu socjalistycznego rozumiane jest przez nich jako konieczność agitacji resztek mieszczaństwa za budową socjalizmu.

Ta aberacja wyraża się np. w trudnościach, które mają oni w ukazywaniu nowego bohatera. Jeszcze silniej zjawisko to zachodzi u pewnych naszych dramaturgów czy powieściopisarzy, którzy główny konflikt dnia dzisiejszego widzą jeszcze w rozdarciu psychicznym inteligenta mieszczańskiego czy zgoła mieszczucha, wahającego się między akceptacją Polski Ludowej a jej odrzuceniem.

Ogólnikowość, deklaratywność wielu utworów poetyckich, nie umiejętność przełożenia haseł na konkretne obrazy, zbyt słabe sięganie do codziennej polskiej tematyki — również, w gruncie rzeczy — wywodzi się z tego samego zjawiska.

Wreszcie, jeśli zanalizujemy przyczyny „technologizmu" niektórych naszych prozaików — dojdziemy do wniosku, że i w tym kryją się te same przyczyny. Przecież nie robotnika dany autor będzie epatował natłokiem, nadmiarem technicznych szczegółów danej fabryki — robotnik na ogół to zna. To wygrywanie egzotycznego środowiska wyraźnie jest zaadresowane do mieszczucha, inteligenta.

W ten sposób możemy następująco zreasumować w trzech zdaniach sytuację w naszej literaturze.

1. Realizm socjalistyczny zwycięży w płaszczyźnie ideologicznej i we wszystkich dziedzinach mamy już do zanotowania pierwsze z jego ducha zrodzone utwory.

2. Pojmowanie realizmu socjalistycznego jest nierzadko powierzchowne, ogólnikowe, stąd błądzenie wielu pisarzy, możliwości wulgaryzacji, nie zadawalająca często jakość naszej produkcji literackiej.

3. Wielu pisarzy nie rozumie jeszcze, że głównym naszym zadaniem w tej chwili jest dopomożenie naszą twórczością polskim masom procującym z klasą robotniczą na czele w wykonaniu planu sześcioletniego, że w tym celu należy bliżej zapoznać się z problematyką ich życia i pracy, z nimi samymi, z ich wymaganiami od literatury.

Jeśli przyjmiemy tę ocenę ogólnie za słuszną — nasze zadania dadzą się sformułować w dwa równorzędne i jednoczesne hasła.

Po pierwsze: bitwa o nowego czytelnika.

Po drugie: bitwa o jakość.

Aby te dwie bitwy wygrać musimy zdobyć się na szereg akcyj ideologicznych i organizacyjnych.

Przede wszystkim winniśmy pogłębić naszą znajomość realizmu socjalistycznego. Postawmy jako najpilniejsze dzisiaj zadanie naszej krytyki na konkretnych przykładach zanalizowanie i rozwinięcie takich np. punktów:

1. Stronniczość, tendencyjność realizmu socjalistycznego w przeciwieństwie do fałszywego „obiektywizmu" mieszczańskiego, do moralnego relatywizmu — jako wynik przyjęcia zasad dialektycznego materializmu, jedynej naukowej metody widzenia świata i jako wynik przyjęcia konsekwentnie humanistycznej podstawy, sprzymierzania się pisarza z najbardziej postępową klasą społeczną, klasą robotniczą.

2. Zachowanie w utworze podstawowych proporcji życia nie w statystycznym, statycznym ich ujęciu ale w dynamice rozwoju.

3. Typowość przedstawianych postaci i wydarzeń, z zachowaniem ich konkretności, indywidualizacji w czasie i przestrzeni.

4. Przestawienie ciężaru zainteresowań pisarskich na bohatera pozytywnego, wypływające z ogólnego przejścia literatury od upadającego mieszczaństwa do pełnej wiary w przyszłość, z natury rzeczy optymistycznej, klasy robotniczej.

Oczywiście, realizm socjalistyczny nie sprowadza się do takich czterech reguł i nie chodzi o to, by reguły tworzyć. Ważne jest jednak, abyśmy od ogólnikowych, choćby nawet filozoficznymi terminami okraszonych przemówień na tematy realizmu socjalistycznego w ogóle— przeszli do konkretnej analizy jego sensu w odniesieniu do konkretnych utworów literackich.

I na tym etapie więc — decydujący głos ma nasza krytyka. Oby tylko uniknęła ona scholastyki, oby umiała znaleźć i ukazać w każdym dziele zaczątki nowego, a nie poprzestać tylko na sumarycznym odrzucaniu wszystkiego, jak to się jeszcze zdarza.

Pogłębienie znajomości realizmu socjalistycznego nie jest możliwe bez bliższego zapoznania się z wielką literaturą radziecką, pierwszą i dotąd jedyną, która zasady tego kierunku zrealizowała w praktyce, wykazując, że nie tylko jest możliwe przy nim tworzenie arcydzieł — ale, przeciwnie — jest to jedyny kierunek, który literaturze w naszej epoce daje perspektywę dalszego, owocnego rozwoju. Doświadczenia to, zbiegające się z przykładami moralnej i artystycznej nędzy dzisiejszych bużuazyjnych spadkobierców wielkiej ongiś literatury francuskiej czy angielskiej — jest główną przesłanką naszego przejścia do realizmu socjalistycznego.

Wśród jego zwolenników dają się zarysować dwa typy stosunku do doświadczenia radzieckiego.

Pierwszy: jesteśmy w okresie, odpowiadającym mniej więcej pierwszej połowie pierwszej pięciolatki. Za wzór więc bierzmy literaturę radziecką gdzieś z lat 1928 — 1930 i — może w przyśpieszonym tempie, ale naśladujemy wszystkie — czy najgłówniejsze jej zakręty.

Drugi: literatura radziecka jest najlepszą, najbardziej postępową literaturą świata. Bierzmy więc za wzór jej dzisiejszą produkcję literacką, naśladujmy mechanicznie jej technikę, jej problematykę.

Oczywiście oba te stanowiska są błędne.

Realizm socjalistyczny w ZSRR powstał, jako dominujący kierunek w końcowym okresie budowy socjalizmu, w okresie zaniku klas antagonistycznych. Od tego czasu Związek Radziecki poczynił ogromne postępy polityczne, gospodarcze kulturalne. Dziś jest on w drodzie do komunizmu to znaczy, m. in. że walka klasowa tam wygasa, że społeczeństwo bez klas antogonistycznych broni się tam przeciwko imperialistycznej agenturze, ale wróg ten nie znajduje już dla siebie żadnej bazy społecznej.

Tymczasem u nas przeżywamy okres narastania walki klasowej potęgowanej i wykorzystywanej przez imperialistów. Stąd konieczność u nas w dziele literackim budowania konfliktu na zupełnie innej bazie niż to na co dziś może pozwolić sobie literatura radziecka.

Stąd błędem jest u nas całkowite pominięcie walki politycznej walki klasowej, jak to robi Mirosław Kowalewski, lub niedostateczne, płytkie jej przedstawienie, jak to widzimy u Wiłczka czy Nevelly'ego.

Mechaniczne naśladowanie konfliktów dzisiejszej np. powieści czy dramatu radzieckiego, w ten sposób, jest niedźwiedzią przysługą wyrządzoną sprawie budownictwa socjalistycznego — bo, obiektywnie jest maskowaniem, kamuflowaniem nieubłaganego wroga klasowego i ukrywaniem go przed uwagą naszych mas pracujących.

Oczywiście jednak, błędem byłoby również nawiązanie do literatury radzieckiej lat 28 — 30. Głęboki sens i znaczenie doświadczeń tej literatury to właśnie to, że chroni ona literatury państw demokracji ludowej przed powtarzaniem błędów, które hamowały w swoim czasie jej rozwój.

Tak jak sąsiedztwo, pomoc i przykład ZSRR uchroniły nas przed wojną domową i blokadą gospodarczą kapitalistycznego Zachodu, tak doświadczenie i przykład literatury radzieckiej winny nam pomóc w kroczeniu drogą realizmu socjalistycznego, z ominięciem wszelkiego rodzaju błędnych zakrętów.

Dlatego np. nie musimy przechodzić przez ciężkie doświadczenia RAPP-owszczyzny i proletkultu, dlatego możemy łatwiej zdemaskować takie zjawiska jak formalizm, kosmopolityzm, wszelkie przejawy metafizyki w świadomości twórców i krytyków.

Dlatego wreszcie możemy poznać bliżej i konkretniej realizm socjalistyczny na przykładzie dzieł literatury radzieckiej i historii literatury radzieckiej, zwłaszcza lat ostatnich.

Powinniśmy w tym celu nalegać na naszych krytyków, by przyśpieszyli zaznajomienie naszego aktywu literackiego z historią tej literatury. Jeśli się nie mylę, dotąd w przekładzie polskim nie mamy ani jednego poważnego jej opracowania. Powinniśmy także nalegać na naszych krytyków, aby analizując dzieła literatury radzieckiej, ukazywali je wszechstronnie, zarówno od strony osiągnięć, jak i niedostatków.

Innymi słowy: doświadczenie literatury radzieckiej winniśmy stosować do konkretnej naszej sytuacji społeczno-historycznej.

Trzecim zadaniem ideologicznym — i, częściowo, organizacyjnym — jest bliższe zapoznanie się naszych pisarzy z masami pracującymi. Konieczności tego dowodzić nie trzeba — wnioski, wyciągnięte z analizy dzisiejszej sytuacji w literaturze polskiej wskazują wyraźnie, że w niedostatecznej znajomości mas pracujących kryje się jedna z największych przyczyn naszych dzisiejszych słabości.

Jerzy Putrament

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

ROZPRAWA TRWA

W nowojorskim parku w nocy znaleziono trupa młodej stenotypistki, Wadowskiej. Ostatnią osobą widzianą w towarzystwie zamordowanej był robotnik Frank Johson. Na niego zwracają się podejrzenia policji. W toku śledztwa wychodzą na jaw pewne okoliczności obciążające. Następuje rozprawa sądowa. Prokurator żąda kary śmierci, chociaż oskarżenie opiera się tylko na poszlakach, obrona wnosi o uniewinnienie, argumentując brakiem wyraźnych dowodów winy oskarżonego. Ława przysięgłych ma zdecydować o krześle elektrycznym lub wypuszczeniu Johsona na wolność.

Wszystko to razem wydaje się być zwykłą sprawą kryminalną z rzędu tych, jakie lubi rozdmuchiwać prasa brukowa w krajach burżuazyjnych.

Opisane wypadki rozegrały się przed odsłonięciem kurtyny teatralnej. Sztuka Adama Tarna: „Zwykła sprawa" rozpoczyna się właśnie w chwili otwarcia posiedzenia sądu przysięgłych. Tajna rozprawa trwa przez całą noc, uczestnikom nie wolno opuszczać gmachu sądu ani komunikować się z kimkolwiek z zewnątrz przed podjęciem decyzji. Wraz z upływającymi godzinami rośnie zmęczenie sędziów, a zarazem wzmaga się zdenerwowanie i napięcie dramatyczne sesji. Wśród przemówień i w postronnych rozmowach podczas przerw — wyłania się stopniowo rzeczywiste tło procesu: Ową Wadowską — komunistkę — zamordowało dla swych celów będące u władzy reakcyjne stronnictwo polityczne, robotnik — również komunista — jest zręcznie uwikłaną ofiarą, policja współdziała w cynicznej inscenizacji. W dwunastoosobowym gronie sędziowskim zaledwie dwu ludzi zna dokładnie rzeczywisty przebieg tej zwykłej amerykańskiej sprawy; to przedsiębiorca Rogers i niejaki Lewis — „niewiadomo kto". Tych dwu wystarczy jednak, aby uzyskać większość, szantażem i groźbą „wyperswadować" wątpiącym ich wahania, złamać przeciwników dla uzyskania wyroku skazującego. Presji ulegnie zaszczuty dziennikarz Carter, choć zdaje sobie sprawę z właściwego charakteru rozgrywki, ulegnie też entuzjastyczna obrończyni Johsona — nauczycielka Hotchkiss.

Jest jednak ktoś, kto mimo gróźb nie sprzeda na śmierć niewinnego człowieka, kto przejrzawszy ciemne machinacje polityczne, twardo wyrąbie Rogersowi i Lewisowi prawdę w oczy. To prosty amerykański człowiek — tokarz Malley. Do niego będzie należało w przyszłości ostatnie słowo.

Nowa sztuka polska, debiut sceniczny Adama Tarna, uderza świadomością roboty dramatycznej, umiejętnością wydobycia efektu teatralnego. Akt drugi jest ciekawszy od pierwszego, a trzeci od drugiego. Idealna jedność czasu, miejsca i akcji służy spotęgowaniu nastroju napięcia.

Sceneria utworu przypomina tyły niejednej tzw. „bomby teatralnej". Były już sztuki rozgrywające się na sali sądowej, zgęszczoną atmosferą grupy ludzi odciętych od świata posługiwało się wiele dramatów sensacyjnych. W tym wypadku jednak autor pogłębił i uszlachetnił wybrane przez siebie tło. Zwykła sprawa powoli odsłania swoje kulisy, a zakończenie rozwala symbolicznie ściany sali posiedzeń, otwiera perspektywy na zasadnicze zagadnienia obecnej amerykańskiej „wolności" i „sprawiedliwości", staje się sądem nad Ameryką rządzoną przez bankierów i ich policjantów.

Toteż sztuka Tarna należy do innego gatunku utworów demaskatorskich, takich jak „Głos Ameryki" Ławreniewa, czy „Śnieżek" Lubimowej. Charakterem swego konfliktu „Zwykła sprawa" przypomina najbardziej (jednak nie w sensie jakichkolwiek zapożyczeń literackich) sztukę Simonowa: „Zagadnienie rosyjskie" (która szła również pt.. „Harry Smith odkrywa Amerykę"). Tarn w obrazie zewnętrznym posługuje się swobodnie realiami zza oceanu, unika sztampowych chwytów i ogranych karykaturalnych cech Yankesów. Sztuka jest słusznym i ostrym oskarżeniem zbójeckich metod w sądownictwie, kryjących się za szyldem amerykańskiego „liberalizmu". Ale... najcięższe argumenty autora pochodzą jakby ze składu ideałów abstrakcyjnej sprawiedliwości. Zdemaskowano polityczny charakter procedury, może jednak za mało wyraźnie podkreślono jej sens klasowy, kto tu z kim walczy i o co.

Wiąże się to ze sprawą rysunku postaci. Tarn jak gdyby dla scenicznego efektu zaintrygowania widza operuje niedomówieniami, zaciera szczegóły centralnych figur negatywnych. Postać Lewisa pozostaje zbyt „tajemnicza". Pewne zastrzeżenia budzić też może postać pozytywnego bohatera, wyrastającego w zakończeniu na reprezentanta ludowej Ameryki. Malley nie jest robotnikiem; przed wojną brał co prawda udział w strajkach, za to właśnie wysłano go na najcięższy front — na Okinawę, ale wróciwszy cało kupił z uciułanych pieniędzy taksówkę, aby stać się „przedsiębiorcą handlowym" — jak mówi ironicznie jeden z partnerów — i przestał się interesować polityką. Malley'owi dopiero w trakcie rozprawy sądowej otwierają się oczy i to z naiwnością niegodną prześladowanego od dawna uczestnika akcji strajkowych.

Trzeba jednak przyznać, że uwagi te poczynione przy lekturze bledną w teatrze. Słuszny postulat, aby sztuki debiutujących autorów polskich wzmocnić możliwie najlepszym wykonaniem, nareszcie został spełniony. „Zwykłą sprawę" wystawił warszawski Teatr Współczesny w reżyserii Erwina Axera przy współpracy dramaturgicznej Jerzego Kreczmara, osiągając szczyt swojego dotychczasowego dorobku w zakresie roboty scenicznej. Teatr wydobył ze sztuki maksimum jej wartości, dokonał celnych acz niewielkich i niegodzących w intencje autora skreśleń, trafnie i twórczo przekomponował szereg sytuacji przez autora zaproponowanych. W sumie zobaczyliśmy frapujące przedstawienie, trzymające w napięciu obie strony rampy i mocno punktujące ideowy rozwój utworu aż do sugestywnego politycznie zakończenia.

Można by dyskutować z reżyserem pewne sprawy kompozycyjne. Wydaje się, że w egzemplarzu pierwszy akt wypełnia raczej „akademicka" dyskusja, panuje tu początkowo rzeczywiście atmosfera „zwykłej sprawy". Dopiero w obrazie drugim ujawniają się powoli sprężyny akcji, napięcie stopniowo wzrasta i przygotowuje rozgrywkę ostatniego aktu. Axer natomiast już od pierwszej sceny wprowadził nastrój ciężki i niepokojący, podkreślił atmosferę koterii i zakulisowej gry. Może to lepiej. Ale wyraźny

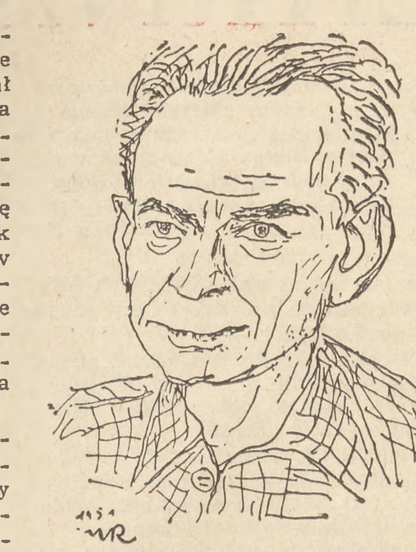

rys. M. Rudnicki

Adam Tarn

sprzeciw budzi ustawienie roli Murzyna, nawiązujące jak gdyby do zakorzenionego na naszych scenach zwyczaju ośmieszania „kolorowych". Windziarz Bill jest tu figurą stojącą na najniższym stopniu społecznym, ale to nie dowodzi przecież jego niższości ludzkiej. Mówi on rzeczy niewątpliwie śmieszne; przy lekturze utworu odnosi się wszelako wrażenie, że trzeba by je podawać z podtekstem ironicznym.

Nie zupełnie też zrozumiale przeprowadzona jest postać Cartera. W pierwszym akcie dziennikarz swoim spokojem i pewnością ciosu robi wrażenie równorzędnego partnera Rogersa. Stąd w trzecim akcie jego lęk przed Lewisem od pierwszej chwili rozmowy — nie jest dostatecznie przygotowany. Zmarnowano tu możliwości dane przez autora w akcie drugim; w teatrze w scenie z Malley'em Carter jest w dalszym ciągu nieodgadniony, jakby prowadził na własną rękę jakąś grę, podczas gdy w sztuce zaczyna on tchórzyć już tutaj.

Mimo tych zastrzeżeń przedstawienie stało na wyjątkowo wysokim poziomie aktorskim. Był to prawdziwy popis wyrównanej gry zespołowej, tak różny od denerwującego gwiazdorstwa rozpanoszonego na innych scenach warszawskich. Z sylwetek zarysowanych przez autora teatr wydobył galerię żywych postaci przemawiających do widza i czytelnych. Narzucającym się przykładem jest postać Lewisa. W granicach danych przez autora — Henryk Borowski stworzył niezwykle wyrazistą, dramatyczną i konsekwentnie przeprowadzoną figurę. Obok niego wyrazy podziwu należą się przede wszystkim Adamowi Mikołajewskiemu. Bardzo prawdziwa, zdobywająca współdźwięk z widownią sylwetka Malley'a. Przejmująca scena osaczenia przez Rogersa i Lewisa a potem przejścia do ataku. Tyradę publicystyczną, stanowiącą literacką piętę achillesową trzeciego aktu, Mikołajewski wypowiedział z prostotą i siłą przekonania, czym mocno ustawił finał sztuki. Michał Melina wygrał do najdrobniejszych szczegółów charakterystycznych postać kapitalisty Rogersa, interesująco wydobył kontrasty tej roli. Kossobudzka jako Miss Hotchkiss stworzyła postać z nie mniejszym realizmem określoną społecznie, prawdziwie żywą i ludzką.

Trzeba zresztą przepisać cały afisz: Jaroń — Carter, Pągowski — Papa, Łapicki — Simpson, Tatarski — Hanson, Wasilewski — Pometti, Bielicka — Miss Roberts, Duszyński — Schneider i Baczyński — Bill.

Oszczędna plastycznie i poważna dekoracja Otto Axera stanowiła właściwe tło dla wydarzeń scenicznych, dobrze współgrała z intencjami reżyserskimi. Świetny pomysł odwrócenia dekoracji w akcie drugim — logiczny kompozycyjnie i wzbogacający efekt widowiskowy. Mniej natomiast udał się makietowy krajobraz nowojorski za oknem.

Prapremiera „Zwykłej sprawy" odbyła się w przeddzień Sylwestra. Teatry warszawskie godnie pożegnały 1950 rok — jednym z jego lepszych przedstawień.

Stanisław Marczak-Oborski

WACŁAW NAŁKOWSKI

Krytyka „Legendy" Brzozowskiego

(Fragmenty)

Człowieka uległego reakcji można by porównać do gór spłukanych, zniwelowanych, do tak zwanego peneplenu: wśród tych zniwelowanych form sterczą jeszcze tu i ówdzie formy dawne, szczątkowe przeżytki: tak jak u Brzozowskiego sterczy Świętochowski jako szczątek postępu, ba· sterczy nawet w cudowny sposób ocalony Ulanowski wskutek jakichś warunków lokalnych, Przybyszewski. U nas w geografii takie spłukanie odbywa się odpowiednio do pewnego poziomu: denudacja częściowa...

*

Stanowisko ludowe i katolickie Brzozowskiego prowadzi do reakcyjnej demokracji i też występuje on silniej przeciwko postępowi niż przeciw narodowej demokracji. Jeszcze są u niego w tym początkowym stadium liczne sprzeczności: jest przeciwnikiem postępowości, ale jeszcze uznaje Świętochowskiego, a zapewne nie uznaje Dmowskiego, ale z czasem przyjdzie i ta konsekwencja...

*

Pragmatyzm to filozofia ginącego ustroju burżuazyjnego, dla jego podtrzymania. Jest to eklektyzm najgorszego rodzaju, usiłujący pogodzić naukę z religią przez zdeprecjonowanie nauki, a nawet religii: skoro bowiem „prawda" religijna, np. o nieśmiertelności, jest tylko prawdą o tyle, o ile służy dla podtrzymania życia, skoro jutro przy zmiennych warunkach ona może stać się nieprawdziwą, to wynika stąd, że w gruncie rzeczy religia ma wartość tylko dla tych, co nie widzą za koniec nosa. Książka Brzozowskiego jest formalnie analogiczna do takich humbugowych wydawnictw amerykańskich, jak „Zbudź się i walcz", „Przeciw śmierci" itd.

Postawienie pracy na piedestale jest słuszne i doniosłe w skutkach, ale trzeba naprzód zbudować ten piedestał (ustrój socjalistyczny), a jego jeszcze nie ma. Bez tego piedestału posąg pracy ugrzęźnie w bagnie burżuazyjnej reakcji! Zalecać i sławić pracę „bez zastrzeżeń" (praca bez zastrzeżeń to dziś to samo, co neosłowianizm bez zastrzeżeń) można będzie wtedy dopiero, gdy ona będzie dumną władczynią, a nie pokorną sługą kapitału. Dziś sławić pracę jest to sławić służalczość, zalecać te cnoty, które są psa zasługą, a hańbą człowieka.

Brzozowski wyrzuca różnym ludziom ośmielić się do posądzeń umieją nad nim zapanować („Kultura i Życie"). A jakże Brzozowski zapanował? Czyż potrafił on uniezależnić się od ludzi, czy nie dał wysadzić się on z siodła? I to poważnie przez własną lekkomyślność, przez brak „męskiego stosunku do życia". Dlaczego dozwolił on ludziom ośmielić się do posądzeń względem niego?

*

Brzozowski nie dowodzi, nie krytykuje, on tylko rozdaje rangi: ten jest „mistrzem", „wielkością", „znakomitością" — ów „idiotą", „kretynem" itd. Ma on nieraz szczęśliwe wyrażenia np. że „trzeba mieć odwagę nietaktowności".

Nie uznaje dowodzeń: „niebezpieczny symptomat, gdy ktoś usiłuje wszystko udowodnić, mieć słuszność" (str. 356), „żyć duchowo to znaczy iść po linii największego oporu" (choć to nie nowe: życie to walka). Szkoda tylko, że książka Brzozowskiego nie poszła po linii największego oporu, lecz po wypadkowej, i to najbliżej narodowej demokracji.

A propos, Kasprowicz który się zmienił w czciciela tłumu — powiada, że nie należy oceniać według partii, ale tą drogą właśnie odbywa się wpływ na życie. A mówi, że nie ma przedziału między tym, co przeżywamy prywatnie, a tym, co przeżywamy dla całej ludzkości.

*

Że życie jest czynnikiem więcej niż procesem logicznym, jak mówi Brzozowski, to wiadomo, że zawiera w sobie pierwiastek irracjonalny — także.

Ale wiadomo, że proces dziejowy polega na racjonalizacji czynów, na opanowywaniu ślepych sił przez rozum (co chyba i Brzozowski przyzna) i że siły te nieujęte w karby rozumu prowadzą do zguby. My dotkliwie właśnie z tego powodu cierpimy i Brzozowski nawet na innych stronicach za to nam wymyśla. Więc gdy Brzozowski stawia na pierwszym miejscu irracjonalne, gdy drwi z „postępowców", że polemizują z wszechpolakami przy pomocy logiki, to niech sobie gada ile chce, że ja jestem „postępowo szczebiocący", ale to jest zwrot, rzeczywiście reakcja na stanowisko Narod. Demokr.

Inaczej ja mógłbym powiedzieć o „szczebiotaniu" Brzozowskiego, który raz walczy jak lew z Narodowej Demokr., to znów odwraca front, staje na koturny i wali postępowców. Doprawdy postępowcy mogli by się czuć zmiażdżeni erudycją Brzozowskiego, gdyby ona nie była dla niego zupełnie bezużyteczna a nawet szkodliwa, gdyż naraża go na prawdziwą kołowaciznę — kierunek jego zawsze zależy od jego każdorazowej lektury.

*

Brzozowski przypomina nieraz ów, że tak powiem, „ponadpartyjny" galimatias genialnego Carlyle'a: część dla pracy i monarchizmu, współczucie dla sankiulotów i walk przeciw oswobodzeniu Murzynów; duma człowieka pracy i order od cesarza niemieckiego, religijność i walka przeciw złagodzeniu życia więziennego. Cześć dla Rewolucji Francuskiej i dla prusactwa.

Gdy syn purytańskich analfabetów zostanie odrazu filozofem, mogą mu się potworzyć w mózgu tego rodzaju uskoki — to nic dziwnego, ale dla normalnego człowieka stawić taki bigos hultajski to pewne spuchnięcie wątroby. Niech to strawi, kto może.

*

Idealistyczne poglądy społeczne Carlyle'a, podobne do socjalizmu chrześcijańskiego, budzą we mnie podejrzenie, jak wszystkie poglądy idealistyczne zarówno wśród twórców, jak i ludzi przeciętnych: doświadczenie nauczyło mnie, że zawsze prawie egoiści, materialiści życiowi głoszą poglądy idealistyczne i odwrotnie... Idealizm wydaje mi się zawsze podejrzany poza nieświadomym, zawierającym coś z lisa, bądź coś z wilka, który utracił zęby, a choćby coś z prostytutki, nucącej kołysankę... Dlatego idealistyczny zwrot w stanowisku Brzozowskiego czyni na mnie niemiłe wrażenie.

Idealiści lubią powoływać się na ślepe siły, ciemne, podświadome siły, intuicję, tajemniczość, a nie na naukę — bo tymi podstawami nie łatwo żonglować... Idealistą był Torquemada, idealistą — Pobiedonoscew. Timeo Danaos...

Od redakcji. Powyższe fragmenty, zaczerpnięte z pozostawionych przez Wacława Nałkowskiego rękopiśmiennych notatek, ukazały się w r. 1939 w czasopiśmie „Epoka" (nr 13 z 15 maja). Jak widać, Nałkowski był wśród współczesnych Stanisława Brzozowskiego, jedynym, który przejrzał reakcyjną i obskurancką treść „ideologii" tego prekursora faszyzmu.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

O WACŁAWIE NAŁKOWSKIM*)

Uwaga Nałkowskiego przede wszystkim skoncetrowana jest na zwalczaniu przeżytków feudalizmu na walce o pełną realizację swobód demokratyczno - burżuazyjnych. I to prawie wyłącznie poprzez polemikę z ideologami tego zacofania, poprzez zwalczanie ich wpływu na społeczeństwo. Walka ta w Polsce nie rozgorzała nigdy na dobre. Śmiertelnym grzechem polskiej burżuazji było to, iż na początku swojej samodzielnej drogi ideowej, po 1863 zawarła sojusz z ziemiaństwem, pogodziła się z caratem, głównym fundamentem i oporą nieprzezwyciężonego feudalizmu i wreszcie — co wynika też z dwu poprzednich — zdradziła chłopa. Pozytywiści nie bronili interesów drobnego posiadacza wiejskiego. Nie mamy pisarza, który by tak pisał o chłopie — jak Michał Bałucki o rzemieślnikach. Rezygnacja z obrony interesów najszerszych mas drobno-burżuazyjnych równała się rezygnacji z walki o urzeczywistnienie swobód burżuazyjno - demokratycznych, o urzeczywistnienie struktury politycznej i społecznej właściwej rozwiniętemu kapitalizmowi. Lecz pozytywizm we wczesnej swej fazie ustami bardziej radykalnych swoich przedstawicieli głosił przynajmniej niektóre hasła tej walki. Żądał przynajmniej swobód właściwych demokratyczno-burżuazyjnemu porządkowi w dziedzinie umysłowej, w dziedzinie kultury. Stworzył więc bardzo ograniczoną i wąską — ale bynajmniej nie najuboższą tradycję walki o humanitaryzm ,tolerancję religijną, tolerancję rasową i narodową, wyzwolenie kobiet, nasycenie opinii elementami naukowego poglądu na świat, odrzucenie rządów klerykalnych w oświacie, uznanie pozytywnej roli postępu technicznego i cywilizacyjnego. Ta tradycja miała potem istotne znaczenie dla tych, którzy u schyłku XIX w. podejmą walkę o swobody demokratyczno-burżuazyjne. Rychło bowiem zagrożenie polskiej burżuazji przez ruch robotniczy w naszym skróconym cyklu rozwojowym kapitalizmu powoduje, iż przed rokiem 1890 ta tradycja postępowa starego pozytywizmu załamuje się. I po roku 1890 trzeba umiejętnie odróżniać radykałów inteligenckich ,którzy ją na nowym poziomie kontynuują od konserwatywnych przedstawicieli liberalnej burżuazji od początku w istocie reakcyjnych, którzy tylko demaskują się, stają się jawnie i cynicznie reakcyjni w dobie rewolucji 1905 r. Program bowiem urzeczywistnienia pewnych swobód demokratyczno - burżuazyjnych, pewnych form ustrojowych właściwych dojrzałemu kapitalizmowi i koniecznych dla jego swobodnego rozwoju, będzie pozornie łączył oba typy ideologów. Nic więc dziwnego, że czasopismo „Głos" około 1890 r. będzie łączyć liberałów burżuazyjnych (przyszłych „endeków"), radykałów inteligenckich i wreszcie nawet pisarzy dość blisko związanych w marksizmem, jak Krzywicki. Ta symbioza nie potrwa długo. Tacy jak Krzywicki odejdą szybciej. Tacy jak Nałkowski będą czekać pełnego zdemaskowania się liberałów, aż 1905 roku.

Łączyła ich wszystkich walka z absolutyzmem niesprzyjającym pod pewnymi względami burżuazyjnemu porządkowi. Ale liberałowie (przyszli endecy) mieli w perspektywie ugodę z caratem na bazie konstytucyjnej monarchii. Natomiast radykalna inteligencja rzeczywiście wierzyła w panaceum pełni swobód demokratyczno - burżuazyjnych. To też liberałowie nigdy nie nawiązują do tradycji postępu pozytywistycznego, do walki o swobody demokratyczno-burżuazyjne w dziedzinie myśli, obyczaju, kultury. Przeciwnie, sprzymierzą się pod tym względem wcześnie ze szlacheckimi tradycjonalistami. Orężem ich będzie nacjonalizm, antysemityzm, fideizm, nienawiść do nauki, do wielkiej tradycji materialistycznej i darwinowskiej myśli mieszczańskiej. To też te tradycje postępowe podejmą tylko radykalni inteligenci i to uczyni ich walkę o swobody burżuazyjno-demokratyczne naprawdę szczerą i dość konsekwentną.

Stanowisko Nałkowskiego jest właśnie takim stanowiskiem. W latach 90 jako reformator społeczny głosi przede wszystkim program oświecicielski. [1]) Będzie jawnym zwolennikiem postępu oświaty i postępu nauki, postępu cywilizacji technicznej i całej emancypacyjnej ideologii wczesnych, postępowych pozytywistów polskich. Bliskie mu będzie stanowisko Orzeszkowej w sprawie Żydów i Białorusinów i w sprawie emancypacji kobiet. Stanowisko Świętochowskiego wobec kleru i świeckiej oświaty. Stanowisko „młodej prasy" wobec darwinizmu.

Walka o swobody burżuazyjno-demokratyczne stanowi główny nurt programowy myśli Nałkowskiego, któremu wszystko inne jest podporządkowane, jak się postaramy dalej wykazać. Ten główny nurt programowy najlepiej odsłania stosunek pisarza do słynnej sprawy Dreyfusa [2]). Na tle tego procesu niewinnie skazanego za

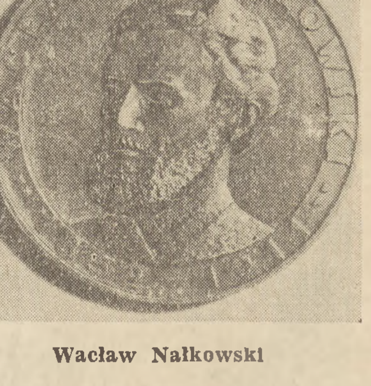

Wacław Nałkowski

rzekomą zdradę francuskiego oficera żydowskiego pochodzenia rozegrała się we Francji walka o utrzymanie osiągniętych tam swobód demokratyczno - burżuazyjnych między siłami postępu zarówno z obozu mieszczańskiego jak i proletariackiego, a siłami reakcji reprezentującymi agresywne, antydemokratyczne tendencje burżuazji epoki imperializmu. Nałkowski jest bardzo uwrażliwiony na tę sprawę, wraca do niej wielokrotnie. Ocenia sprawę jako „przełomową" — jako „ściśle związaną z dalszą ewolucją dzisiejszego ustroju". Wroga widzi jednak nie w ustroju kapitalistycznym, ale w jego przeciwnych swobodom burżuazyjno-demokratycznym przejawach, które reprezentowała partia antydreyfusardów z ich typowymi cechami dla agresywnej, reakcyjnej burżuazji imperialistycznej wówczas nie tylko we Francji — z ich antydemokratyzmem, tradycjonalizmem, antysemityzmem, nienawiścią do ruchu robotniczego, ideałów „swobody myśli", sprawiedliwości, powszechnego szczęścia", z jego ideologią militaryzmu, podbojów kolonialnych, rasizmu, nacjonalizmu. Temu portretowi odpowiadał przecież także każdy obrońca przeżytków feudalnych w Polsce na służbie szlachecko-endeckiej.

Pisarz walczy o swobody demokratyczno-burżuazyjne, nie przeprowadza nigdzie konsekwentnej, ani nawet po prostu jakoś pełnej, czy choćby trafiającej w zasadnicze punkty krytyki ustroju kapitalistycznego. Ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, iż ustrój jest w fazie gnicia. Stąd sprzeczności, ostre ogólne formuły antyustrojowe, a brak właściwej krytyki i brak socjalistycznego programu pozytywnego. Przeciwnie, program pozytywny Nałkowskiego, jak się dalej powie, nie przewiduje zmiany ustroju — a tylko uzdrowienie kultury, moralne ulepszenie ustroju. Warto wczytać się uważnie we „Wspomnienia krakowskiego studenta". Autor namiętnie potępia tu politykę stańczyków, jej rozkładowy wpływ na życie społeczeństwa. Trafnie krytykuje procesy deklasowania się tych przedstawicieli mas ludowych, którzy dobili się indywidualnego awansu społecznego. Nałkowski zdaje się rozumieć, iż prawdziwy awans społeczny to jest tylko awans całej klasy. Nie widać, iżby rozumiał, że jedyną drogą do takiego awansu jest rewolucja społeczna. Ale rozumie dobrze sens moralny tego, że awans społeczny nie powinien być zdradą swojej klasy. Jak jednak tego dokonać bez rewolucji? Nałkowski wierząc w swobody burżuazyjno-demokratyczne — wyobraża to sobie w ten sposób, iż awansowani społecznie przedstawiciele mas ludowych będą „pełnoprawną" i „szanowną" opozycją w republice demokratyczno - burżuazyjnej. [3])

Toteż może właśnie te „wspomnienia krakowskiego studenta" nieco mimochodem a przecież najjaśniej mówią jak sobie wyobrażał Nałkowski ustrój, z którego byłby zadowolony: parlamentarna burżuazyjna demokracja, z uprawnioną do swobodnej krytyki opozycją. Było to obiektywnie nic innego jak idealizacja dyktatury burżuazji właściwej dojrzałemu kapitalizmowi w Europie zachodniej. Na naszym gruncie i to było uderzeniem w feudalne zacofanie absolutyzmu carskiego. Analiza wystąpień Nałkowskiego po 1905 pozwala zasadnie przypuszczać, iż zbliżał się do zrozumienia myśli, że republika burżuazyjna jest tylko etapem na drodze do prawdziwej demokracji, w której większość ludu już nie jest krytykującą opozycją, ale siłą rządzącą.

*

Głównym narzędziem walki Nałkowskiego — prowadzonej przecież w płaszczyźnie kulturalnej a nie bezpośrednio politycznej — była dyskusja sienkiewiczowska. Poświęcił jej dwie broszury, nadto dwa duże artykuły i niezmiernie liczne wzmianki, aluzje, nawiązania w wielu, omal wszystkich swoich szkicach na inne tematy. Szkice sienkiewiczowskie Nałkowskiego — o wyraźnym charakterze pamfletu, są bezsprzecznie najlepszymi jego pracami, najwięcej w nich namiętności, uporu, konsekwencji i ostrości myśli i stylu.

Nałkowski był inicjatorem dyskusyj sienkiewiczowskich w XX w. Chociaż już przed nim intrygował i niepokoił, budził protesty ten fenomen wielkiego artysty i reakcyjnego pisarza. Ale wtedy budził spory Sienkiewicz autor frapującej artystycznie „Trylogii" — Nałkowski ma

(Dokończenie na str. 4)

*) Fragment wstępu do wyboru pism publicystycznych Wacława Nałkowskiego, który ukaże się wkrótce nakładem Państwowego Inst. Wydawniczego.

1) W. Nałkowski „Jednostka i ogół", str. 1—15 passim.

2) W. Nałkowski O. C. passim, zwłaszcza 156 i n (157).

3) W. Nałkowski „Jednostka i ogół", str. 406.

O WACŁAWIE NAŁKOWSKIM

(Dokończenie ze str. 3)

na uwadze Sienkiewicza autora płaskiej i artystycznie niedołężnej „Rodziny Połanieckich", oraz autora jawnie reakcyjnych, bezpośrednio politycznych wystąpień (w związku ze strajkiem szkolnym 1905 r., wyborami do Dumy, wojną anglo-boerską, akcją wywłaszczeniową w Poznańskim). Nałkowski oceniał twórczość Sienkiewicza jako reakcyjną od początku (z wyjątkiem wczesnego okresu nowel ludowych) — to też podkreśla, że nie zaskoczyły go wsteczne wystąpienia społeczne pisarza po 1905 r.

Spór Nałkowskiego z Sienkiewiczem to nie był bynajmniej spór estetyczny, literacki, to teren, na którym pisarz rozprawia się ze swoim głównym przeciwnikiem: przeżytkami feudalnymi w Polsce. Autor uświadamiał ją sobie jako walkę społeczną, w interesie demokracji i mas ludowych. Spór ten toczy się na przestrzeni mniej więcej 10 lat. W toku jego rozwoju Nałkowski coraz wyraźniej uświadamia sobie, iż ideały Sienkiewicza, jego tradycjonalizmu i klerykalizmu, jego nacjonalizmu i przywiązanie do burżuazyjnych form własności spełniają określoną klasową funkcję. Nie są tylko wyrazem zacofania i zastoju, ale przede wszystkim żywego i drapieżnego interesu klasowego [4]). Widzi, iż ten interes staje się wspólnym interesem obszarników i zespolonej z nimi, coraz wyraźniej dominującej burżuazji. Połaniecki pozytywny bohater Sienkiewicza także kupił ziemię za pieniądze wydarte oszukańczo głodującym. Lecz ta walka z przeżytkami faudalizmu i jego ideologii przesłaniała oczy Nałkowskiemu, nie dostrzegał głównego konfliktu epoki. Koncentracja uwagi na tych najbardziej wstecznych, potwornych przejawach życia ideowego Polski zacieśnia jego program pozytywny. Wydaje mu się, że wystarczy uwolnienie się od tych zwyrodnień gnijącej kultury burżuazyjnej u nas przywalonej jeszcze najgorszym spadkiem sarmackiego zacofania.

W początkowym okresie walcząc z Sienkiewiczem Nałkowski zwalcza feudalną ideologię stańczykowską przenikającą do Królestwa z tzw. młodymi konserwatystami, zwalcza wreszcie tych ideologów burżuazji, którzy głosząc ugodę z caratem byli głównymi obrońcami przeżytków feudalnych u nas. W drugim okresie sporu po r. 1905 nie ma ona również szerszego zasięgu społecznego, jest znów krytyką tylko najbardziej zacofanych feudalno - burżuazyjnych tendencyj, nigdy zaś próbą krytycznego zaatakowania burżuazyjnego systemu nawet w jego demokratycznej formie. Po 1905 r. Nałkowski poprzez związki z ideologią Sienkiewicza atakuje obok elementów feudalno - klerykalnych, także jednoczących się z elementami feudalnymi burżuazyjnych „endeków" z Dmowskim na czele [5]).

Trzeba przyznać natomiast, że przy okazji tej dyskusji Nałkowski już bezkompromisowo demaskuje te wszystkie elementy reakcyjne, szczególnie kler i politykę watykańską w Polsce, popierającą na każdym etapie najbardziej zacofane elementy społeczne. Nałkowski demaskuje antykulturalny i antynarodowy charakter jezuityzmu i watykanizmu w Polsce [6]).

*

Mówiliśmy już parokrotnie wyżej — o tym bardzo charakterystycznym dla imperializmu procesie społecznym w krajach zacofanych, wyzyskiwanych przez obcy kapitał finansowy — o wytwarzaniu się jednego obozu reakcji z elementów feudalnych i reakcyjnej burżuazji, która wyzyskuje teraz dla swoich interesów cały arsenał zacofania klerykalno - szlacheckiego. Wzbogaca jednak ten arsenał nową bronią: tendencjami i ideami zapowiadającymi faszyzm. Przeciwnik przeżytków feudalnych w Polsce musiał natknąć się i na te nowe dążenia wstecznictwa. To też Nałkowski właśnie w swych bojach z przeżytkami feudalizmu — zwalcza jednocześnie zapowiedzi faszyzmu, zwalcza typowe dla imperializmu tendencje.

Oczywiście nie jest do tej walki tak dobrze wyposażony, jak do walki z przeżytkami feudalizmu. Krytyka tych ostatnich mogła być dostatecznie przekonywająca, wręcz druzgocząca przy pomocy pojęć urobionych przez pionierów demokracji burżuazyjnej, pozytywistycznego postępu, mieszczańskiego empiryzmu i ewolucjonistycznej, antyfideistycznej darwinowskiej filozofii. Chociaż wszystko to mieć musiało i miało fundament filozoficzny burżuazyjnego idealizmu.

Walka z kapitalizmem bez narzędzi dialektycznej, materialistycznej, marksistowskiej analizy grzeszy naiwnością. Nałkowski zaborcze, rasistowskie, agresywne tendencje polityki imperialistycznej w stosunku do ludów uciskanych, a zwłaszcza kolonialnych, krytykuje z pozycyj mieszczańskiej abstrakcyjnej etyki i logiki [7]).

Z reakcyjnych tendencyj epoki imperializmu uwiodły Nałkowskiego pozory buntu w literaturze symbolistów [8]). Do tego nie rozczarował się do końca. Dlaczego — postaramy się wykazać w wykładzie pozytywnego programu pisarza. Z tym wiązać się będzie nigdy do końca niedoprowadzona krytyka nietzscheanizmu. Wobec innych tendencyj ideologicznych imperializmu Nałkowski jest czujny i krytyczny. Atakuje i nacjonalizm i antysemityzm i fideizm, wraz z wszelkimi legendami o bankructwie nauki [9]). Po r. 1900 wyraźnie i słusznie łączy te wszystkie tendencje z polityczną ekspozyturą agresywnej burżuazji z „endecją" i na niej skupia ataki, wiążąc krytykę tych ogólnych idei z krytyką konkretnego klasowego programu politycznego.

Swojej walki z klerykalizmem nie traktuje również jako kampanii prowadzonej tylko w imię mieszczańskiego racjonalizmu i empiryzmu. Traktuje antyklerykalizm jako jeden z elementów walki z wyzyskiem. Atakuje pesymizm, bo „prowadzi do klerykalizmu, do negacji nauki i rozwoju, do uznania marności życia doczesnego, gdy się zaś w biedaków wmówi, że życie jest *zasadniczo* marne, to już łatwiej będzie w spokoju zażywać na ich rachunek jego rozkoszy" [10]). Podobnie i inne tendencje imperialistyczne atakuje nie tylko z pozycyj postępu nauki mieszczańskiej, ale zawsze świadomie demaskuje ich funkcję w pogłębianiu, czy utrwalaniu wyzysku kapitalistycznego, wyzysku nieposiadających.

Jak się już mówiło typowym stanowiskiem radykalnej inteligencji w dobie imperializmu będzie ograniczanie się do krytyki kultury kapitalistycznej bez właściwej krytyki ustroju. Sygnalizowaliśmy, iż pod maską takiej krytyki literatura burżuazyjna symbolistów propagowała zdecydowanie uwstecznniające, petryfikujące zacofanie i prymityw patriarchalny, antycywilizacyjne i obiektywnie antypostępowe tendencje. *Nałkowski nie umiał odciąć się od tej literatury w całości*, zwiedziony frazesem niezadowolenia z rzeczywistości aktualnej. Ale umiał demaskować jej główne wsteczne idee. Typowym przykładem będzie tu krytyka powrotu do natury, do prymitywu, do zacofanych form życia, do najcięższych warunków bytu patriarchalnych rezerwatów ciemnych nędzarzy, zatrzymanych w rozwoju przez wyzysk kapitalistyczny po zapadłych i gospodarczo upośledzonych wioskach polskich. Gloryfikacja tego typu życia była obiektywnie petryfikacją warunków kapitalistycznego wyzysku rolnictwa, które je stworzyło. Nie miało to nic wspólnego z krytyką ustroju. Były to reakcyjne grymasy w stosunku do postępu technicznego, na który liczył i musiał liczyć proletariat w swej realnej, ziemskiej walce z kapitalizmem. Był to program akceptacji kapitalizmu przez odwrócenie się tyłem do jego kultury. Była to próba powrotu wstecz — nie drogi naprzód, były to dążenia antyrewolucyjne. Znamy je dobrze z twórczości Kasprowicza po 1905 r. W wierszach jego pochwała dawnego, patriarchalnego porządku, podziału na „rodowych" i „komorników" na wsi, godziła się dobrze z otwartą walką przeciw penetracji nowoczesnych politycznych prądów emancypacyjnych na wieś. Kasprowicz to dojrzały przykład. Nałkowski zauważył te objawy w zarodku. W chłopomanii reakcyjnej „Głosu", w działalności St. Witkiewicza, którego atakuje osobiście tylko aluzjami. Analizuje samo zagadnienie na szerokim tle tego typu idei od początków kapitalizmu począwszy.

Już 1893 tworzy termin „chłopomania idillica". „Temu to prądowi u nas przypisać należy, że w dobie ostatniej głównym kierownikiem filozoficzno - estetycznej myśli polskiej jest Sabaładostawca żętycy dla chorych żołądków i mądrości dla chorych, lub uwstecznionych w rozwoju mózgów..." [11]) Funkcja tej chłopomanii po r. 1890 była jednoznaczna. Był to jeden z elementów akcji powstrzymującej proces przemian w kierunku demokracji burżuazyjnej. Był to jeden z momentów akcji cofania się na drodze, na którą niecierpliwymi krokami weszli postępowi pozytywiści pierwszego okresu wraz ze swoją postępującą jeszcze naprzód klasą.

Postawa Nałkowskiego tak zimna i trzeźwa mogłaby wydać się wobec „ludowych" entuzjazmów „Głosowiczów" i różnych odkrywców Zakopanego obojętnością dla chłopa i interesów mas ludowych. Jest przeciwnie. Nałkowski demaskuje postawę wrogą postępowi wsi i mas chłopskich w imię ich interesów. „To jest jeden z czynników dzisiejszej reakcji wstecznej — pisze — powrotu do dawnej prostoty, dawnych wierceń, dawnych głupstw". Jego zainteresowanie się masą ludową jest żywe. Wystarczy stwierdzić kierunek jego obserwacji w szkicu „Ucieczka na łono natury", by zauważyć jak wrażliwy jest na wyzysk tej masy, na nędzę skazanych na życie w pierwotnych technicznie i cywilizacyjnie warunkach. Warto tu podkreślić, że krytykę głosowiczowskiej chłopomanii, demaskowanie jej wstecznej klasowej, burżuazyjnej treści pod ludowym frazesem mógł znaleźć Nałkowski u schyłku XIX w. w pierwszych socjalistycznych czasopismach polskich (np. „Przedświt" nr 11 r. 1887).

Stefan Żółkiewski

4) W. Nałkowski „Sienkiewicziana".

5) W. Nałkowski Z powodu politycznych wystąpień p. Sienkiewicza.

6) por. np. „...wszakże wszelkie błagania Polaków poznańskich zwrócone do ukochanego ojca świętego o opiekę, o obronę przed gwałtami pruskimi pozostały bez skutku — tacy ludzie, jeżeliby potępili uchwały pruskie, to nigdy pod wpływem uczuć humanitarnych, lecz jedynie pod wpływem jakiegoś interesu własnego". Nałkowski. Wielkie nieporozumienie (z powodu ankiety o uwłaszczeniu). „Społeczeństwo" r. 1949, str. 557.

7) W. Nałkowski. Ziemia i człowiek, str. 213.

8) W. Nałkowski Jednostka i ogół, str. 146—155.

9) W. Nałkowski. Sienkiewicziana. Z powodu wystąpień polit. p. Sienkiewicza. Jednostka i ogół. str. 388 in. Ogniwo 1905. (Wszędzie jednacy). Społeczeństwo. 1909. 3. 499.

10) Jednostka i ogół, str. 53.

11) Jednostka i ogół, str. 11, w związku z tym zagadnieniem por. cały art. Natura i Siła.

STEFAN HEYM

przełożył IGNACY K

CZARNA LISTA

„Nowa Kultura" zamieszcza poniżej nowe opowiadanie postępowego pisarza amerykańskiego Stefana Heyma, którego powieści — „Zakładnicy" i „Inwazja" — ukazały się niedawno w polskim przekładzie. Stefan Heym, który przed wojną wydawał w Nowym Jorku tygodnik antyfaszystowski, ostatnio był delegatem na Warszawski Kongres Pokoju i od czasu Kongresu przebywa w naszym kraju, gromadząc materiały do zbioru reportaży o Polsce.

„Proszę wejść" — powiedział, licząc, że to może Betty Frazier. Ale ona nie pukałaby do drzwi: kazałaby się zameldować sekretarce i weszłaby od razu. Zresztą na nią było jeszcze za wcześnie. Spojrzał na zegarek — nie było jeszcze pół do 4-tej; za oknem słońce rzucało dokoła budynków jasny i ostry blask a daleko na dole w wąwozie Rockefeller Center nie zapalono jeszcze latarni przy ślizgawce.

Quinn, woźny biurowy, szurgnął przez drzwi, jak zazwyczaj wysunął naprzód lewe ramię i upuścił na biurko kopertę z manilli. „D. Z. chce, żeby pan do niego zadzwonił, jak pan to przeczyta" — powiedział zaciągając z brooklyńska. Po czym odwrócił się i wyszedł.

To dobry woźny—pomyślał Quinn, był w tym samym wieku co on. Lecz wyglądał starzej. Miał twarz pokrytą zmarszczkami od trosk i wodniste oczy. Quinn pracował od niepamiętnych czasów w firmie Zinkin, Metcalfe & Metcalfe. Lata te niewątpliwie odbiły się na jego wyglądzie.

Przyszło mu na myśl, jak też dalece odbiły się one na nim samym; lecz był zbyt leniwy, aby wysunąć szufladę biurka, w której przechowywał małe lusterko do golenia. Obracał w palcach kopertę z manilli. „D. Z. chce, żeby pan do niego zadzwonił!" — przedrzeźniał z irytacją głos Quinna. D. Z.! Ta cała historia z D. Z. rozpoczęła się z chwilą przeprowadzki firmy do nowego lokalu na trzydziestym trzecim piętrze: wszystkie pokoje wyłożone dywanami, boazerie na ścianach, ukryte światło, co dzień świeże kwiaty na biurkach wszystkich urzędników... Zinkin, Metcalfe & Metcalfe, przedsiębiorstwo propagandy i reklamy, było w rozkwicie. Pan Dawid Zinkin mógł sobie pozwolić na to, aby go nazywano krótko D. Z. Obnosił swe inicjały, jak generał ordery.

Otworzył kopertę. Wewnątrz była dość gruba broszurka z wystającą ze środka zakładką. Nie mógł przeczytać tytułu na okładce; zasłaniała go niebieska kartka z ciemnym nadrukiem: „Dla pamięci — od D. Zinkina". Na kartce było nabazgrane: „Proszę to przeczytać i zadzwonić — D. Z."

Dobrze — pomyślał — przeczytam! Zadzwonię! Przeczytam i zadzwonię, kiedy będę miał, do diabła, ochotę! Znów spojrzał na zegarek. Betty miała przyjść dopiero o trzy na czwartą, a na pewno spóźni się jak zwykle. Wściekał się, gdy mu kazano czekać. D. Z. lubił kazać mu czekać. Ale ona nie miała prawa tego robić: te cotygodniowe konferencje z nią na temat jej audycji nie były jego obowiązkiem. Audycje te podlegały jemu: do niej należało jedynie odczytanie tekstu, a Harvey był dość dobrym pisarzem radiowym. Nie potrzebował korzystać z jej pomysłów, aby zręcznie spleść intrygę — ale ona je miała, i tak jakoś te konferencje stały się powszednim chlebem ich życia. — Na chwałę przeszłości — żartował w myśli.

Do diabła z przeszłością! Miał teraz troje dzieci, żonę i domek na Long Island. A Betty Frazier na swój sposób spoglądała na niego przelotnie — przyjaźnie lecz bardzo przelotnie; to jątrzyło, a jednocześnie przekreślało wszystko, co między nimi było; sprawy już teraz umarłe, umarłe dla obu stron, zduszone warstwą lat narosłą między nimi a domkiem na Long Island i bachorami. Ale jakby nie było, mężczyzna nie może swej dawnej ukochanej dawać pouczeń na temat punktualności i marnowania czasu.

Właściwie mówiąc, byłoby lepiej, gdyby nie musiał mieć do czynienia z Betty Frazier. Ale gdy Zinkin, Metcalfe & Metcalfe wykiwali konkurencję i zdobyli dla siebie firmę Mydło Kingsley'a, odziedziczyli również „Rodzinę państwa Rutherford". A z Rutherfordami przyszła Betty Frazier, która przez całe lata, pięć razy w tygodniu o 11-ej rano była dla milionów Amerykanek Ciotką Kordelią Rutherford. Głęboki głos Betty płynął przez 167 rozgłośni amerykańskich do milionów amerykańskich domów, opowiadając milionom amerykańskich gospodyń o drobnych kłopotach i drobnych radościach państwa Rutherford, tak podobnych do ich własnych. A wśród mądrych rad Ciotki Kordelii przenikały ważne wiadomości o zaletach i niskich cenach produktów Kingsleya: o mydle Miodowa Rosa, o płatkach mydlanych Biel Brzozowa, o proszku do czyszczenia Promienność i —

Stop. Przez cały długi dzień myślał, pisał i mówił o mydle Kingsleya, oraz omawiał, nadzorował i prowadził sprawy Rodziny Rutherford. Pragnął zapomnieć o nich bodaj na chwilę! Żeby ta Betty choć raz była na czas! Ale Betty to też było mydło; mydło sprawiło, że ich drogi znów się spotkały; gdy myślałeś o Betty, myślałeś o mydle: to było całkiem naturalne — i okropne.

Dzwonek telefonu.

„Tak?..." powiedział zmęczonym głosem.

„Przeczytał pan, co panu przysłałem?" — Głos brzmiał ostro i rozkazująco.

„Jeszcze nie, D. Z."

„Dlaczego?"

„Właśnie miałem..."

„Więc proszę przeczytać i zadzwonić, dobrze?"

„Tak jest, D. Z."

Gdyby Betty Frazier mogła wejść teraz, w tej sekundzie, mógłby powiedzieć D. Z., że konferencja w sprawach firmowych uniemożliwiła mu przeczytanie broszury. Ale Betty oczywiście nie przyszła na czas — Odpiął spinacz, którym kartka D. Z. była przyczepiona do okładki i spojrzał na tytuł. „BROŃCIE AMERYKAŃSKIEGO OGNISKA DOMOWEGO!" Pod spodem, drobnym czerwonym drukiem: Poufna Lista Agentów Komunistycznych w Radio, Telewizji, Filmie i Teatrze...

Nie czytał dalej. Jeżeli D. Z. sądzi, że te bzdury i pachołki, które to ułożyły, i organizacja, która za tym stoi, są dla niego czymś nowym!... Wzruszył ramionami. Miał tę rzecz na biurku już przeszło cztery tygodnie temu. Przeczytał to, gdyż ciekawość przezwyciężyła jego odrazę. Nikogo z ludzi, którzy z nim pracowali nad „Rodziną Rutherford" na tej liście nie było. Ale gdyby nawet byli, to też nie uczyniłby nic. Nie wierzył w „czarne listy", nie był człowiekiem, którego można łatwo nastraszyć, i dopóki tylko jakiś artysta dobrze wykonywał swe zadanie, reszta nie miała dla niego znaczenia.

Sięgnął po telefon. Chciał powiedzieć D. Z., że ta broszura to zleżały ciuch i że nie warto sobie głowy zawracać. Powie to z leciutką dozą ironii — nie tyle, by zirytować D. Z., lecz dość, aby mu dokuczyć.

Ale nagle cofnął dłoń. U dołu okładki był wiersz, którego początkowo nie dostrzegł, wiersz z trzech słów: „Drugie wydanie, rozszerzone".

„To niemożliwe, żebym ja..." pomyślał i poczuł, jak gorąca fala uderza mu do głowy. „Nie—oni by mnie nie umieścili! Z powodu czego, co miało miejsce w r. 1917... Boże mój, byłem przecież wtedy smarkaczem..."

Przeczytał: *Betty Frazier*, (Ciotka Kordelia Rutherford z „Rodziny Rutherford", produkcji Zinkin, Metcalfe & Metcalfe, popieranej przez Kingsley Products (Mydło Rosa Miodowa, Płatki mydlane Biel Brzozowa, proszki do czyszczenia Promienność), 11-go listopada, 1936 przemawiała na zebraniu w celu gromadzenia funduszów na rzecz Międzynarodowej Brygady Hiszpańskiej; członek Komitetu Antyhitlerowskiego od 1938 do 1945; pikietowała Ratusz w dn. 13 lutego 1946; wymieniona jako członek popierający w nagłówku papieru listowego Komitetu dla Obrony Praw Człowieka: brała udział w pochodach pierwszomajowych w r. 1944, 1946, 1947, 1949.".

„Całkiem pokaźne akta" pomyślał, i potem: „Ciekaw jestem, czy ona tam też się spóźniała!" — i roześmiał się z zakłopotaniem. Było właśnie trzy na czwartą, i po raz pierwszy odkąd znał Betty zapragnął, aby się spóźniła. D. Z. niewątpliwie wiedział, że miała być dziś w biurze. Jeżeli D. Z. chciał, żeby coś zrobić z tą przeklętą czarną listą, to niechże to robi sam!

Zadzwonił telefon. Jeżeli to sekretarka zawiadamia, że panna Frazier przyszła, powie jej, aby kazała pannie Frazier poczekać. Dosyć często musiał czekać na nią!

Ale to był D. Z.

„Przeczytał pan?"

„Tak".

D. Z. wpadł w to „Tak". — „Niech pan słucha. Pan wie, co to dla nas znaczy. Mydło Kingsleya to nasza najważniejsza firma. Nie chcę żadnych zajść z mydłem Kingsleya. Tak, wiem; ona pracowała dla nas przez długie lata, a pan wie, jak się odnoszę do ludzi, którzy dobrze pracują. W zeszłym tygodniu dałem znów podwyżkę Quinnowi — jest on woźnym, a zarabia więcej niż sekretarka. Więc polegam na panu —".

„Ale może to nieprawda?" — udało mu się wsunąć.

„Więc ludzie, którzy to sporządzili, chcą procesu o oszczerstwo!"

„Ale zawsze są dwie strony... Ona na pewno może wyjaśnić..."

„Jeżeli nam da zaświadczenie w miejsce przysięgi, że nigdy nie miała nic wspólnego z żadną z tych komunistycznych afer... Zaświadczenie w miejsce przysięgi, które będzie ważne w Sądzie i które będziemy mogli przedstawić tym ludziom od Kingsleya! Ale nawet i to nie wystarczy. Pan wie, jak te rzeczy się robi! Do Radia i do Kingsleya zaczną napływać listy od słuchaczy: *Usuńcie ją z fal eteru! Nie pozwalajcie jej zatruwać Amerykańskiego Ogniska Domowego!* Przecież to wszystko jest zorganizowane. Pan o tym wie — ja o tym wiem — wszyscy o tym wiemy — ale co możemy na to poradzić? — Pan to załatwi, ale niech pan to zrobi w odpowiedni sposób. Ona dobrze pracowała dla nas...".

„Pan to załatwi!" Pompatyczny głos D. Z. brzmiał mu jeszcze w uchu, gdy już odłożył słuchawkę na widełki. Jest pan parszywym tchórzem, panie Dawidzie Zinkin... Dlaczegóż mu tego nie powiedziałem?...

Nie mógł potępiać D. Z. Zgromadzili oni przecież całe „dossier" w sprawie Betty. Powinna była mieć tyle rozumu, aby się nie pętać z komunistami. Pochody pierwszomajowe! Betty Frazier maszerująca przez Plac Unii i salutująca Czerwony Sztandar! Smarkacze robią takie rzeczy; ale dorosła kobieta, dobrze po czterdziestce, występująca jako Ciotka Kordelia Rutherford...

Można to jeszcze wybaczyć dzieciom. Dawno temu, w 1917 roku, on sam kazał się przywiązać łańcuchem do latarni na obozie w Columbii i wznosił okrzyki przeciwko wojnie imperialistycznej, aż wreszcie policjanci przepiłowali łańcuch. I co

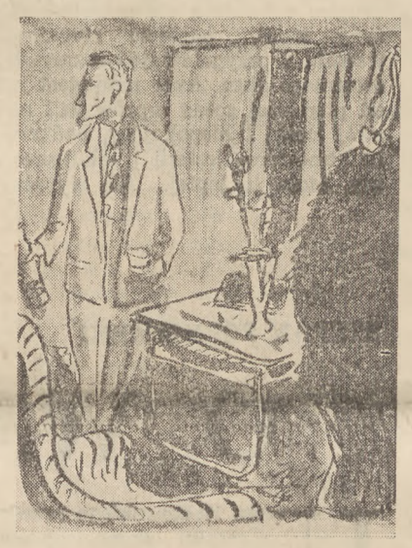

mu z tego przyszło? Wyleli go ze szkoły. Dlatego to właśnie zamiast skończyć prawo, jest teraz niższym urzędnikiem, kierującym reklamą fabryki mydła. Trzeba wreszcie kiedyś w życiu być człowiekiem dorosłym i ustatkować się.

A przecież Betty była doskonała w swojej roli. Nie przychodziła punktualnie na spotkania, to prawda, ale nigdy się nie spóźniła na swój program, a jej poglądy polityczne są jej sprawą osobistą. Po co jest demokracja, jeżeli nie po to, żeby ludzie mogli czcić Stalina czy kogo im się żywnie podoba? Tak — ale przecież nikt nie broni Betty wznosić okrzyki na cześć Stalina — a czy jest gdzieś powiedziane w Konstytucji, że takie osoby mają grać rolę Ciotki Kordelii Rutherford i otrzymywać pieniądze od Mydła Kingsley?

„Naturalnie, że jestem nielogiczny" — pomyślał, a potem przez chwilę nie myślał w ogóle o niczym, nagle powiedział głośno:

„Jezus Maria, przecież ja gadam jak te dranie, które sporządziły tę czarną listę!"

Ukrył twarz w dłoniach. Gdyby ona tylko zechciała mi pójść na rękę! Gdybyż tylko zaprzeczyła wszystkiemu i dała mi poręczenie! Miałbym wówczas czym walczyć, mógłbym wówczas stanąć twardo w jej obronie.

Telefon.

„Tak, mogę już przyjąć pannę Frazier".

Przesunął palcami przez włosy i zapalił papierosa; ale nie smakował mu i zgniótł go w popielniczce.

„Siadaj, Betty" — powiedział.

Ale ona stała przed biurkiem, w rozchylonym futrze; wciąż jeszcze miała zgrabną figurę.

„Co ci jest? — spytała — źle się czujesz?"

„Nie, skądże znowu! Dlaczegóż miałbym się źle czuć? Nigdy w życiu nie czułem się lepiej..."

O, do diabła! Zapomniał schować broszurę... Zauważyła ją; poznał to po jej oczach, które na ułamek sekundy rozszerzyły się.

„Tak — rzekła — i ja tam jestem. Powiedziała to spokojnie, rzeczowo, a jednak dosłyszał ton wyzwania i niewypowiedziane pytanie: „Co masz zamiar z tym zrobić?"

„Siadaj, Betty" — powiedział po raz drugi.

Usiadła, skrzyżowała nogi, a on patrzał przez chwilę na jej kostki, piękne kostki, i myślał: Dlaczegóż, na miłosierdzie Boskie, musiałaś to zrobić, Betty? Mając takie kostki, maszerować w pochodzie pierwszomajowym! Była już po czterdziestce, nieco starsza od niego, i jeżeli on ją teraz wyleje, to ona do końca życia nie dostanie żadnej pracy w ra
a cóż ona umie robić innego?

„Powiedz mi, Betty — powi
śmiejąc się przez krótką chw
przecież to nieprawda..."

Spojrzała na niego obco, i
wybuch krótkiego śmiechu, ja
bie uplanował, zamarł mu w
„A gdyby to była prawda?
tała.

„Zapomnij o tym!" — pow
i wskrzesił swój śmiech. „
Metcalfe & Metcalfe nie da
nabrać na takie świństwa. Ni
szczamy naszych ludzi, dopó
brze odwalają robotę. Od jak
pracujesz dla nas — zaraz — o
ściu lat? Sześć lat to diabelni
go..."

Pogładził swe siwiejące skro
„Pamiętasz Quinna? — ciąg
Quinna, woźnego? Musisz pan
D. Z. dał mu podwyżkę i Qui
rabia teraz więcej niż sekretar
Ale Quinn nie figurował w
broszurze, broniącej Amerykańskiego Ogniska Domowego, i żaden
rzony słuchacz z gniewem
w sprawiedliwych sercach, nie
by listów, żądających usu
Quinna z fal eteru. A jak będzi
glądała jego własna posada,
postawi sprawę na ostrzu
i oświadczy temu D. Z., że Bett
si pozostać na afiszu?

„Powiedz mi, Betty — spy
czy ty jesteś komunistką?"

Twarz jej pozostała nieporu
niemal sztywna. „A czy ty
członkiem Komitetu Badania
łalności Antyamerykańskiej?"
powiedziała pytaniem na pyta

„Nie bądź nieznośna! — ofuk
Usiłuję ci pomóc!"

„Czy chciałeś mi powiedzie
mnie wylewasz?"

Głos jej był jeszcze równy
zabrzmiał w nim jakiś ostry
skierowany przeciw niemu.

„Oczywiście, że nie! Sądziłe
wyjaśniłem ci moje stanowisko
sze stanowisko — poprawił
stanowisko firmy Zinkin, M
& Metcalfe. A zresztą masz ko
na rolę Ciotki Kordelii".

„Więc czego chcesz?"

„Betty", powiedział błag
Wstał ze swego krzesła, ciężkim
kiem obszedł biurko, przysiadł
ręczy jej fotela, ujął dłonią je
„Betty, dlaczego nie chcesz
pójść na rękę? Chyba możesz
złożyć oświadczenie — takie po
nie..."

Wysunęła rękę z jego dłoni.

„Wiesz, kochanie — powiedzi
że zaczyna mi być ciebie żal".

Odsunął się od niej, podsze
szafy ściennej, wyjął butelkę
ku. „Napijemy się?" — spytał.

Spojrzała na zegarek. „Dla
jest jeszcze za wcześnie na koni
odpowiedziała. — Jeżeli nie ma
nic więcej do powiedzenia, to
pójdę".

Odwrócił się do okna, z b
w ręce. Światło popołudnia
już słabnąć, a zarysy budynków
ciły swą ostrość. „Wcześnie ter
bi się ciemno" — powiedział.

Gdy spojrzał na pokój, jej
było. Grube dywany firmy Z
Metcalfe & Metcalfe głuszyły
całkowicie. Wzruszył ramio
Spoglądał na butelkę i ocen
krytycznie; potem przyszło
myśl, że Betty miała rację: by
szcze za wcześnie, aby zacz
Odstawił butelkę do szafy, wr
biurka, zadzwonił do sekretarki
wiedział: „Proszę mi przysłać
veya".

Czekał na Harveya, z p
w mózgu. Złożył dłonie, przycis
końce palców do siebie, nie m
absolutnie o niczym i starają
zmusić swe zmysły do zupełnej
czułości.

Wszedł Harvey, drobny blo
o krótkowzrocznych oczach
kształconych za grubymi szkłam
„Słuchaj Harvey — powiedz
na jak długo masz jeszcze teks
Rutherforda?"

„Na pięć dni — odrzekł H
drapiąc się w nos.

„Dobrze — powiedział nie
ślając się — sądzę, że audycj
trzejsza pójdzie tak jak jest,
trze też. Ale na następny
mam pewien pomysł".

Harvey ściągnął twarz. Był
nowanym pisarzem radiowym
lubił, by ktoś mu się wtrącał
boty. „Więc pan ma jakiś pomy
powiedział. — Cóż to za pomysł

„Widzisz, Harvey — odp
dział — coraz bardziej bagatel
my kłopoty Rutherfordów.
się stanie wreszcie coś ważneg
odmiany".

„Na przykład co?" — spytał
vey apatycznie.

„No więc, na przykład, nie
Ciotka Kordelia Rutherford u
Wówczas możemy mieć pogrzeb
za to zapłaci? A potem, stopn
wprowadzimy w tekst młodą d
czynę, jako główną postać, i b
my znów mieli coś nowego na
10 lat Rutherfordów".

„Ale ja myślałem..." — zaczął
vey, i urwał.

„Tak! — powiedział niemal
śnie — uśmiercimy Ciotkę Ko
Rutherford! To najlepsza
Wspaniały pomysł!"

„A na co ona ma umrzeć?",
Harvey bez cienia entuzjazmu.

„Skąd ja mam wiedzieć?!" —
nął, wyładowując cały swój
i zawód. „Zapalenie ślepej k
Jakiś wypadek! Co mnie to w
ko właściwie obchodzi?!"

Stefan He

Szermierz „oczyszczającego Wstydu"

„Kradzież tylko może jeszcze ocalić własność, krzywoprzysięstwo — religię, cudzcłóstwo — rodzinę i bezład — ład". Tymi słowy charakteryzował Marks (Dzieła, t. VIII, str. 412) ideologię reakcyjnej burżuazji po roku 1848. Mianem „idylli" nazwał sarkastycznie tę epokę geniusz satyry XIX wieku — Sałtykow-Szczedrin. 15 stycznia br. przypadła 125 rocznica jego urodzin.

Właściwie wyraziliśmy się nieściśle: geniusz Szczedrina sięga daleko poza ramy stulecia, w którym pisał, poza granice kraju, w którym tworzył. Ten wielki pisarz rosyjski, dzieląc Gribojedowa i Gogola, w którego twórczości rozlegają się ustokrotnione echa puszkinowskich „Dziejów wsi Goriuchino", jest zarazem olbrzymem międzynarodowym. „Maniera satyryczna Sałtykowa — pisał Turgieniew — spowinowacona jest w pewnej mierze z manierą Juwenala... Jest w nim coś ze Swifta: komizm — poważny i budzący grozę, realizm — trzeźwy i oślepiająco jasny pośród najdzikszej gry wyobraźni". W Panteonie świata Szczedrin stoi w jednym rzędzie z Rabelais Swiftem, Diderotem i Goldsmithem, Wolterem i Thackereyem, a skalą talentu, głębią i ostrością obserwacji, głębią humanizmu i idei postępowych przewyższa może nie jednego z nich.

Jak Diderot przygotowywał grunt dla rewolucji francuskiej, tak Szczedrin przeorywał glebę rosyjską pod posiew, z którego zrodził się Wielki Październik. Działał w epoce największego marazmu myślowego, największej ciemnoty arakczejewowskiej i zmuszał ludzi do patrzenia i myślenia. „Widziałem — mówił Turgieniew — jak przy czytaniu niektórych szkiców Sałtykowa słuchacze zaśmiewali się do rozpuku. Ale w śmiechu tym było coś niemal przerażającego, gdyż publiczność, śmiejąc się, czuła równocześnie jak bicz chłostał ją samą". Satyra Szczedrina wysadzała z wygodnych siodeł oportunizmu.

Jak molierowski Harpagon, czy Kandyd Woltera, postacie Szczedrina są wieczne, o ile wieczne jest zło, o ile wieczne są podłość i głupota, które tak bezlitośnie tępił i obnażał. W każdym razie są co najmniej tak trwałe jak ustrój, który je zrodził. I tam, gdzie ustrój ten przetrwał, spotkamy i Judaszkę-Gołowlewa, majora Pryszcza z głową faszerowaną, i Nikanora Zatrapeznego, Ferdyszczenkę, i Borodawkina i innych. Co najwyżej, będą zmodernizowani.

Satyra Szczedrinowska jest alegoryczna. Głupow i Poszechonie — to carska Rosja, radca stanu Grustiłow, umierający na melancholię — to Aleksander I, Archistratig Pierechwat-Zalichwacki — Mikołaj I, Ugrium - Burczajew już samym brzmieniem nazwiska przypomina Arakczejewa, a fantastyczna podróż Ferdyszczenki jest satyrą na podróże Aleksandra I. Każda z tych nazw zresztą, każde z nazwisk jest już samo w sobie świetnym utworem satyrycznym, znakomitą, a jakże lapidarną charakterystyką jego posiadacza. Lapidarność i niezwykła celność pióra są podstawową właściwością pisarza, który paru słowami umie stworzyć cały obraz, ukazać dalekie i rozległe perspektywy, wydobyć całą barwę i ton zdarzenia, skreślić pełny portret i przekrój psychologiczny postaci.

Michał Eugrafowicz Sałtykow-Szczedrin urodził się 15 stycznia 1826. Jako 22-letni młodzieniec wydał powieść „Zagmatwana sprawa", ostro piętnującą nierówności społeczne i wyzysk klas rządzących. Powieść skonfiskowano, zaś Sałtykow został zesłany do Wiatki. Po śmierci Mikołaja I powrócił do Petersburga i wkrótce potem ogłosił „Szkice gubernialne". W r. 1868 objął redakcję postępowego czasopisma „Otieczestwiennyje Zapiski", które prowadził przez 16 lat. W r. 1884, w okresie największego nasilenia reakcji za rządów Aleksandra III, „Otieczestwiennyje Zapiski" zostały zamknięte. 28 kwietnia 1889 Sałtykow zmarł, nie mogąc znieść narzuconej mu bezczynności.

Do najgłośniejszych jego utworów należą — w kolejności ukazania się — „Dzieje pewnego miasta", „Rodzina Gołowlewych", „Współczesna idylla" i „Starożytności poszechońskie", cykl szkiców „O Pompadurach i Pompadurszach" oraz szereg znakomitych bajek.

„Dzieje pewnego miasta" to współczesna pisarzowi rzeczywistość rzutowana w przeszłość, wielki akt oskarżenia, ukazujący całą nicość, całą zbrodniczą absurdalność istnienia i bezgraniczny rozkład moralny carskiego czynownictwa, samo dno rozpaczliwego bytowania ludu rosyjskiego. „Przez całe życie płaczemy, ciągle... ciągle płaczemy" — mówi do Ferdyszczenki jedna z „obywatelek" Głupowa, obywatelka bez praw obywatelskich, a nawet ludzkich, jedna z niezliczonych „postaci bez twarzy", których mowa, mowa ich życia, to „jakieś nieokreślone okrzyki, podobne do dalekiego gwaru pijanego tłumu". „Krzyczy ulica bezjęzyczna" — powie blisko pół wieku później Majakowski.

Rodzina Gołowlewych jest obrazem procesu rozkładowego toczącego strupieszałą i przegniłą do cna warstwę ziemiańską, nieuchronnego dialektycznie procesu; jest wykazaniem nieuchronnej jego konieczności i rządzących nim praw rozwojowych. Mistrzostwo analizy psychologicznej czyni z tej kroniki rodzinnej, dziejów upadku samej instytucji rodziny, jedno ze szczytowych osiągnięć rosyjskiego realizmu krytycznego.

„Współczesna idylla" jest bezlitosną rozprawą z ideologią marazmu szerzącą się w ostatnich latach rządów Aleksandra II i w początkach panowania Aleksandra III. „Starożytności poszechońskie" odtwarzają, według własnego określenia autora, rysy charakterystyczne stosunków pańszczyźnianych, bezgraniczny wyzysk chłopa, ciemnego i osłabłego z głodu do tego stopnia, że zatraca wszelką zdolność myślenia, a nawet wszelką niemal zdolność do pracy. Szkice o „Pompadurach" — kacykach czynowniczych — są galerią portretów tępej, rozbestwionej i pewnej swej bezkarności biurokracji. Bajki wreszcie są zbiorem genialnych alegorii politycznych i społecznych, uderzających w carat, administrację i stosunki społeczne.

Zdumiewająca jest u Szczedrina potęga środków wypowiedzi. Jednolitość i zwartość kompozycji, zwięzłość, jasność i przejrzystość stylu, świetność obrazowania, bogactwo form językowych, inwencja językotwórcza stawiają jego dzieło wśród szczytowych pozycji literatury świata. Nie ma tam ani jednej zbędnej sceny, zbędnego obrazu, szczegółu, nawet słowa. Postacie malowane są dynamicznie, w perspektywie przemian, tętnią prawdą życiową i artystyczną, są niepowtarzalne, nie można wyobrazić ich sobie innymi. A równocześnie są niesłychanie typowe, są klasycznymi przedstawicielami środowisk, do których należą, ich syntezą i uogólnieniem. Ta zdolność syntetyzowania i typifikacji, bez równoczesnego upraszczania rysunku, jest jedną z naczelnych cech geniuszu szczedrinowskiego. Mimo całego swego tragizmu, dzieło Szczedrina nie jest krzykiem rozpaczy. Pisarz wierzył w nadejście „oczyszczającego Wstydu", którego kształtu jednak nie znał, bo znać nie mógł, a który pługiem Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej przeorał smutny kraj Toptyginów, przeobrażając Poszechonie w Związek Republik Radzieckich.

Tkwiąc z korzeniami tak mocno w rzeczywistości rosyjskiej, twórczość Szczedrina ma zarazem charakter ogólnoludzki, międzynarodowy. Jego bohaterowie noszą wprawdzie ultra-rosyjskie nazwiska, ale są wcieleniem cech spotykanych wszędzie. Co więcej, są wcieleniem cech, które w socjalistycznym społeczeństwie ludów dawnego cesarstwa rosyjskiego zostały gruntownie wytrzebione, natomiast ze wzmożoną siłą uwydatniają się w społeczeństwach gnijącego ustroju kapitalistycznego. Bowiem pod wielu względami, a w szczególności pod względem stopnia samowiedzy socjalnej, pewne społeczeństwa, jak np. amerykańskie, znajdują się dziś w tej fazie rozwojowej, przez którą przeszła Rosja w epoce „idylli". „Współczesną idyllą" USA są rządy nicestw, gnieżdżących się w Białym — ideologicznie brunatnym — Domu. Ta sama, co u bohaterów szczedrinowskich ideologia marazmu jest dziś gwiazdą przewodnią „liberałów amerykańskich", klasom rządzącym USA przyświeca ta sama filozofia korzyści osobistej, ustokrotniona tylko i wzmożona — „our profit-making philosophy" — jak mówi Truman — nasza filozofia zysku. Dywidenda podniesiona do godności filozofii i do gmachu wiary. A postać Rededi i jego myśl utworzenia „międzynarodowej korporacji wędrownych wodzów" czy nie przypomina do złudzenia „sztabu atlantyckiego" Eisenhowera i Montgomery'ego, czy nie jest właściwie pierwowzorem tego sztabu? Gdy bohater jednej z bajek szczedrinowskich łajdak powiada, że „sprawa myśli ludzkiej jest na zawsze przegrana i odtąd człowiek musi kierować się nie „dowolnymi" wymogami rozumu i sumienia, które sprowadzają go na manowce gonitwy za widmami ideałów, ale tym skromnym instynktem samozachowawczym ,który utrzymuje go na gruncie zdrowej rzeczywistości", to w genialnej wizji świetnego satyryka z łatwością odczytujemy kwintensencję egzystencjalizmu. Analogie można by prowadzić bez końca.

I z tego względu dzieło Szczedrina jest nie tylko wspaniałą kartą w historii literatury, nie tylko znakomitym dokumentem epoki, ale i potężną bronią w walce o demokrację, w walce o pokój.

Julian Stawiński

MICHAŁ SAŁTYKOW-SZCZEDRIN

przełożył SEWERYN POLLAK

Z dziejów pewnego miasta

(Fragmenty)

FANTASTYCZNY PODRÓŻNIK

Nie zdążyli jeszcze głupowcy przyjść do siebie, gdy lekkomyślność brygadiera o mało nie wciągnęła ich w nowe klęski.

Ferdyszczenko zamyślił podróżować.

Był to zamiar bardzo dziwny, ponieważ pod zarządem Ferdyszczenki znajdowało się tylko miejskie pastwisko, które nie zawierało żadnych skarbów ani na powierzchni ziemi, ani w jej głębi. W różnych punktach tego pastwiska walały się co prawda kupy nawozu, ale nawet ze stanowiska archeologicznego nie przedstawiały one nic godnego uwagi. „Dokądże tu i w jakim celu podróżować?" Wszyscy rozsądni ludzie zadawali sobie to pytanie, ale rozstrzygnąć go sensownie nie potrafili. Nawet gospodyni brygadiera bardzo się stropiła, gdy Ferdyszczenko oznajmił jej swój zamiar.

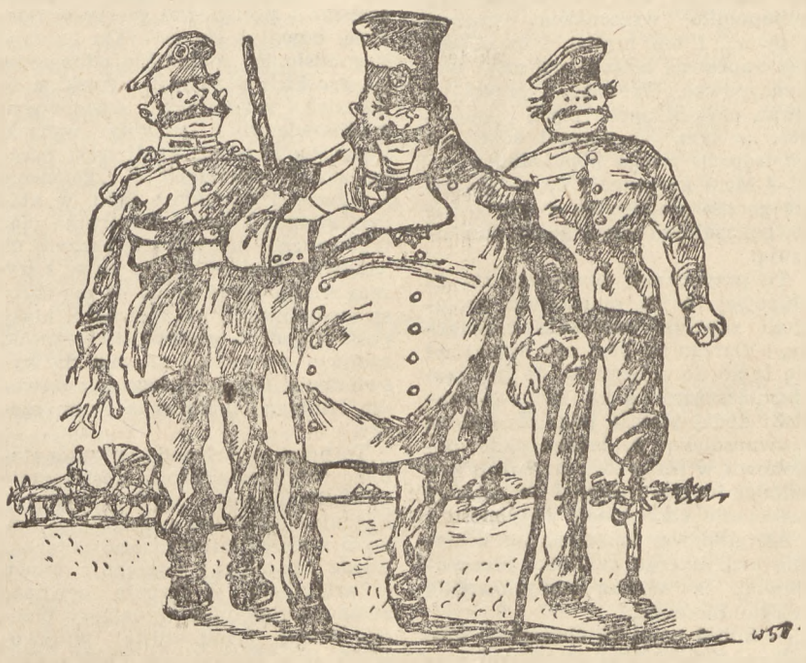

Ilustrował Ignacy Witz

— Gdzież to cię tak nosi? — mówiła. — Wpadniesz na pierwszą kupę i uwięźniesz! Skończ, na Boga, z tymi swoimi kawałami!

Ale brygadier był niezachwiany. Wyobraził sobie, że trawy będą bardziej zielone, a kwiaty barwniej rozkwitną, jak tylko wyjedzie na pastwisko. „Użyźnią się pola, rozleją się obficie rzeki, popłyną statki, zakwitnie hodowla bydła, powstaną linie komunikacyjne" — mamrotał pod nosem i strzegł swego planu bardziej niż źrenicy oka. „Tępy był bardzo — wyjaśnia kronikarz — tak tępy, że nawet po tylu klęskach nie zbył się swojej tępoty". Kopiował on zapewne w tym wypadku swego patrona i dobroczyńcę, który również był miłośnikiem rozjazdów (w krótkim opisie starostów Ferdyszczenko oznaczony jest w ten sposób: były ordynans księcia Potiomkina) i lubił, aby go wszędzie fetowano.

Plan został nakreślony obszernie: z początku udać się w jeden kąt pastwiska, potem przeciąwszy je na przełaj niespodziewanie zjawić się w drugim końcu, potem znaleźć się po środku, później jechać znowu na wprost, a w końcu — gdzie oczy poniosą. Wszędzie przyjmować powitania i dary.

— Uważajcie — mówił do mieszkańców miasta — jak tylko mnie dostrzeżecie, walcie natychmiast w miednice, a potem zaczynajcie witać, jakbym przyjechał Bóg wie skąd!

— Rozkaz, ojczulku Piotrze Pietrowiczu! — mówili głupowcy słuchając pouczenia, ale w głębi duszy myśleli: „Boże! Tylko patrzeć, a znów miasto spali!"

Wyjechał Ferdyszczenko w sam dzień św. Mikołaja, zaraz po nabożeństwach porannych, i w domu powiedział, że nie wróci szybko. Towarzyszył mu ordynans Wasili Czarnostopy i dwóch żołnierzy inwalidów. Orszak ten skierował się stępa w prawy kąt pastwiska, ale ponieważ odległość była niewielka, więc pomimo że hamowali, to jednak po pół godzinie przybyli. Wyczekujący tutaj głupowcy w liczbie czterech osób uderzyli w miednice, a jeden potrząsał bębenkiem. Potem zaczęli składać dary: ofiarowali kawał solonego jesiotra, suszonego sterleta średniej wielkości i kawałek szynki. Brygadier wyszedł z bryczki i zaczął się wykłócać, że darów mało, „a przy tym dary te nie są prawdziwe, lecz zleżałe" i sprawiają mu dyshonor. Wtedy głupowcy wyjęli jeszcze po pół rubla i brygadier się uspokoił.

— No, a teraz pokażcie mi, staruszkowie, jakie macie rzeczy godne widzenia?

Zaczęli chodzić tam i z powrotem po pastwisku, ale prócz kupy nawozu nie znaleźli nic godnego widzenia.

— To w zeszłym roku, gdyśmy tu obozowali w czasie pożaru, mieliśmy ze sobą dużo wszelakiego bydła — wyjaśnił jeden ze starców.

— Dobrze by tu było wystawić miasto — rzekł brygadier — i nazwać je Domnosławem na cześć tej zwierzchności. A najważniejsze, że nie są przedsiębiorczy.

— Powinniście okręty wybudować, cukrem i herbatą handlować— rzekł — a wy co?

Spojrzeli po sobie starcy, widzą, że brygadier jak gdyby mówił do rzeczy i nie do rzeczy. Zawahali się nieco i wyjęli jeszcze po pół rubla.

— Co do tego — dziękuję — rzekł brygadier — a co się rzekło o żegludze, wybaczcie.

Wtedy wystąpił jeden z obywateli i pragnąc się przypodchlebić powiedział, że od wypadku przyniósł za pazuchą małą drewnianą armatkę na kółkach i niewielki zapasik suszonego grochu. Ucieszył się brygadier z tej zabawy niesłychanie, siadł na łące i zaczął strzelać z armatki. Strzelali długo, nawet się znużyli, a jednak do obiadu zostało jeszcze dużo czasu.

— A cie licho! Tutaj słońce nawet toczy się jak gdyby wstecz! — powiedział brygadier patrząc z oburzeniem na ciało niebieskie, powoli płynące w kierunku zenitu.

Wreszcie siedli do obiadu, ponieważ jednak od czasów strzelczychy Domaszki brygadier zaczął się zapijać, więc i tutaj spił się do obrzydliwości. Zaczął wygadywać niestworzone rzeczy i wskazując na drewnianą armatkę odgrażał się, że powystrzela wszystkich swoich amfitrionów. Wtedy za gospodarzami ujął się ordynans, Wasili Czarnostopy, który choć również był pijany, to jednak już nie tak bardzo.

— Głupio sobie poczynasz! — przerwał z punktu brygadierowi. — Gdybym nie ja, twój przyboczny, nie puściłbyś nawet pary z gęby, łysoniu! A cóż dopiero, gdy chcesz się brać za taką broń!

A tymczasem godziny wlokły się z beznadziejną opieszałością. Jedli, jedli, pili, pili, a słońce stało wciąż wysoko. Legli do snu. Spali, spali, całe pijaństwo odespali, wreszcie zaczęli wstawać.

— Zdaje się, że słońce wzeszło już wysoko! — rzekł brygadier budząc się i biorąc zachód za wschód.

Pomyłka jednak była tak oczywista, że nawet on ją zrozumiał. Posłali jednego ze staruszków po kwas do Głupowa, sądząc, że skrócą czas oczekiwaniem, ale staruszek obrócił w mig i przyniósł na głowie cały dzban, nie uroniwszy ani kropli. Z początku pili kwas, później herbatę, potem wódkę. Wreszcie, ledwie tylko zaczęło się zmierzchać, zapalili łuczywo i oświetlili kupę nawozu. Łuczywo dymiło, migotało i śmierdziało.

— Dzięki Bogu! Aniśmy się obejrzeli, jak dzień się skończył — powiedział brygadier i owinąwszy się w płaszcz położył się spać po raz drugi.

— Nazajutrz pojechali na przełaj i na szczęście spotkali po drodze pastucha. Zaczęli go wypytywać kim jest i po co się wałęsa po pustkowiu, i czy w tym wałęsaniu nie ma premedytacji. Pastuch z początku zląkł się, ale później przyznał się do wszystkiego. Wtedy go zrewidowali i znaleźli niewielką pajdę chleba i strzęp onucy.

— Mów, na czym polegały twoje złe zamiary? — torturował go brygadier.

Ale pastuch na wszystkie pytania odpowiadał porykiwaniem, więc podróżni dla dalszych badań zmuszeni go byli wziąć ze sobą i tak właśnie przybyli na drugi koniec pastwiska.

Tu również dudniono w miednice i składano dary, ale czas minął szybciej, ponieważ badano pastucha i strzelano do niego, odpuść im Panie, z małej armatki. Wieczorem znowu zapalili łuczywo i nakopcili tak, że wszyscy dostali bólu głowy.

Na trzeci dzień, puściwszy wolno pastucha, ruszyli ku środkowi, ale tu oczekiwał brygadiera prawdziwy triumf. Sława jego podróży rosła z godziny na godzinę, a ponieważ wypadł dzień świąteczny, więc głupowcy postanowili zaznaczyć go czymś szczególnym. Przyodziawszy się w najlepsze stroje, uszeregowali się w czworobok i oczekiwali swego naczelnika. Walili w misy, potrząsali bębenkami, a nawet grały jedne skrzypce. Obok buchała para z kotłów, w których gotowało się i piekło tak wiele prosiąt, gęsi i innej strawy, że nawet popów zdjęła zazdrość. Po raz pierwszy brygadier zrozumiał, że miłość ludu zawiera w sobie coś jadalnego. Wysiadł z bryczki i rozrzewnił się.

Płakali wszyscy, płakali i z żalu, i z radości. Szczególnie rozpływała się we łzach pewna sędziwa staruszka (mówiono, że była to wnuczka córki z nieprawego łoża Marfy Posadnicy).

— Dlaczego płaczesz, staruszko?— zapytał brygadier, klepiąc ją łaskawie po ramieniu.

— Ach, nasz ojczulku, jakże mam nie płakać, dobroczyńco ty nasz! Przez całe życie płaczemy ciągle... ciągle płaczemy!! — chlipała w odpowiedzi staruszka.

W południe ustawiono stoły i wszyscy zasiedli do obiadu, ale brygadier był tak nieostrożny, że jeszcze przed zakąską golnął sobie trzy czarki czystej. Oczy mu nagle znieruchomiały i zaczęły patrzeć w jeden punkt. Potem Ferdyszczenko zjadłszy pierwsze danie (był to kapuśniak na peklowanym mięsie) znowu wypił dwie szklanki i powiedział, że musi uciekać.

— No dokąd cię tak ni z tego, ni z owego niesie? — przemawiali mu do rozumu pocześni głupowcy, którzy siedzieli po jego prawej i lewej ręce.

— Gdzie oczy poniosą! — bełkotał, przypominając sobie zapewne te słowa ze swojej marszruty.

Po drugim daniu (było to prosię w śmietanie) zrobiło mu się słabo, przemógł się jednak i zjadł jeszcze gęś z kapustą.

Widać było, jak drgnęła mu na twarzy jakaś administracyjna żyłka, drżała przez chwilę i naraz zamarła... Głupowcy w lęku i popłochu pozrywali się z miejsc.

Skończyło się...

Skończyły się świetne rządy starościńskie, przyćmione w ostatnich latach dwukrotnym wbijaniem głupowcom rozumu do głowy. „Czy były te pouczenia konieczne?" — zapytuje sam siebie kronikarz i niestety pozostawia to pytanie bez odpowiedzi.

o wszystkich dawnych starostach, a między innymi i o Ferdyszczence. Był to Wasilisk Siemionowicz Borodawkin, od którego, właściwie mówiąc, rozpoczyna się złoty wiek Głupowa. Obawy się rozpierzchły, urodzaje następowały jedne po drugich, komety się nie pojawiły, a pieniędzy namnożyło się tak bez liku, że nawet kury nie chciały ich dziobać... Dlatego, że były to banknoty.

WOJNY OŚWIATOWE

Wasilisk Siemionowicz Borodawkin, który zajął miejsce brygadiera Ferdyszczenki, był zupełnym przeciwieństwem swojego poprzednika. O ile ten ostatni był rozwiązły i otyły, o tyle pierwszy zadziwiał przedsiębiorczością i jakąś niesłychaną administracyjną zjadliwością, która ze szczególną siłą przejawiała się w zagadnieniach, dotyczących zjedzonej łyżki barszczu. Zapięty stale na wszystkie guziki, z czapką i rękawiczkami w pogotowiu, reprezentował ten typ starosty, którego nogi każdej chwili gotowe są biec nie wiadomo dokąd. W dzień jak mucha krążył po mieście, przestrzegając, aby mieszkańcy mieli dziarski i wesoły wygląd; w nocy— gasił pożary, urządzał fałszywe alarmy i w ogóle łapał na gorącym uczynku.

Wykrzykiwał stale, i to wykrzykiwał w sposób niezwykły. „Tyle mieściło się w nim krzyku — powiada przy tym kronikarz — że wielu głupowców z tej przyczyny przelękło się raz na zawsze i za siebie i za swoje dzieci". Jest to świadectwo godne uwagi, a znajduje potwierdzenie w tym, że w przyszłości władze zmuszone były przyznać głupowcom rozmaite ulgi właśnie „uwzględniając ich przerażenie". Apetyt miał dobry, ale opychał się z pośpiechem, a przy tym narzekał. Nawet spał tylko jednym okiem, co wielce detonowało jego małżonkę, która pomimo dwudziestopięcioletniego pożycia, nie mogła bez lęku patrzeć na jego drugie czuwające, zupełnie okrągłe i ciekawie na nią zwrócone oko. Gdy zaś już zupełnie nie było nic do roboty, to znaczy, gdy nie trzeba było ani krążyć, ani chwytać na gorącym uczynku, (w życiu najbardziej przedsiębiorczych administratorów zdarzają się takie ciężkie chwile), to ustanawiał prawa albo maszerował po gabinecie obserwując blaski na czubku buta, albo też odnawiał w pamięci wojskowe sygnały.

Borodawkin miał jeszcze jedną szczególną cechę: był autorem. Na dziesięć lat przed przybyciem do Głupowa zaczął pisać projekt „O jak największym armij i flot na całej przestrzeni rozpowszechnieniu, aby przez to na powrót (sic) starożytnego Bizancjum pod skrzydła imperium rosyjskiego uczynić nadzieję" i co dzień dodawał do niego po jednym wierszu. W ten sposób powstał dość duży zeszyt, zawierający trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dwa wiersze (dwa lata były przestępne), na który starosta z dumą wskazywał gościom, dodając przy tym:

— Oto, mój panie, jak daleko zakreślam moje horyzonty!

Marzenia polityczne były w tym czasie w ogóle bardzo rozpowszechnione i dlatego też Borodawkin nie uniknął powszechnych prądów cza-

Ilustrował Ignacy Witz

Przez pewien czas głupowcy trwali w oczekiwaniu. Obawiali się, aby ich nie obwiniono o umyślne przekarmienie brygadiera i aby znowu nie rozległo się niewiada skąd: „tu-ru! tu-ru!"

Ruszcie ławą,
Aby żwawo
Wroga zgnieść!

Jednakże, na szczęście, tym razem obawy okazały się płonne. Po tygodniu przybył z guberni nowy starosta i doskonałością stosowanych przez siebie metod administracyjnych sprawił, że zapomniano su. Bardzo często głupowcy widzieli, jak siedział na balkonie starościńskiego domu, patrząc stamtąd pełnymi łez oczami na siniejące w dali twierdze Bizancjum. Pastwiska Bizancjum i Głupowa graniczyły ze sobą tak blisko, że bizantyjskie stada prawie zawsze mieszały się z głupowskimi i z tego powodu powstawały nieustanne zwady. Wydawało się, że wystarczyłoby tylko okrzyknąć bój... I Borodawkin czekał na ten okrzyk, czekał żarliwie, z niecierpliwością, która dochodziła prawie do pasji.

— Najpierw skończymy z Bizancjum — marzył — a potem...

Nad Rawę, nad Sawę, daleką Wełtawę,
Nad Dunaj błękitny i cichy...

— T-tak!

Czy powiedzieć całą prawdę? Borodawkin przygotował nawet w tajemnicy, na nazwisko znanego naszego geografa K. I. Arseniewa, dość dziwny nakaz: „Poleca się waszej wielmożności na przyszłość znane panu Bizancjum we wszystkich podręcznikach geografii określać w sposób następujący: Konstantynopol, dawne Bizancjum, a obecnie miasto gubernialne Jekaterinograd, leży przy ujściu morza Czarnego w starożytną Propontydę; pod skrzydła imperium rosyjskiego w 17... przyjęty, z rozciągnięciem nań jedności kas (jedność owa na tym polega, że pieniądze bizantyj-

Ilustrował Ignacy Witz

skie w mieście stołecznym Sankt Petersburku winny posiadać obieg). Z uwagi na swój obszar miasto owo pod względem administracyjnym znajduje się w zarządzie czterech starostów, pozostających w nieprzerwanej między sobą zwadzie. Prowadzi handel greckimi orzechami i posiada jedną fabrykę mydła i dwie garbarnie". Ale niestety! dni mijały za dniami, rosły marzenia Borodawkina, a okrzyku bojowego nie było. Przechodziły przez Głupów wojska piesze, przechodziły wojska konne.

— Dokądże to, moi mili? — z przejęciem pytał żołnierzyków Borodawkin.

— Ale żołnierzyki trąbili w trąby, śpiewali pieśni, migali czubkami butów, wznosili na ulicach słupy kurzu i wciąż maszerowali a maszerowali.

— Ławą walą żołnierze! — mówili głupowcy i wydawało im się, że są to jacyś niezwykli ludzie, i że sama natura stworzyła ich po to, aby nieustannie maszerowali, maszerowali we wszystkich kierunkach. Że schodzą z jednego wzgórza po to, aby wleźć na drugie wzgórze, przechodzą przez jeden most po to, aby przejść później przez drugi most. I jeszcze most, i jeszcze wzgórze, i jeszcze, i jeszcze...

W tej sytuacji Borodawkin zrozumiał, że dla przedsięwzięć politycznych czas jeszcze nie nadszedł i że wypada mu ograniczyć swoje zadania jedynie do tak zwanych codziennych potrzeb kraju. Wśród tych potrzeb pierwsze miejsce zajmowała oczywiście cywilizacja, czyli jak sam on określał to słowo „nauka o tym, jak bardzo każdemu Rosyjskiego Imperium mężnemu synowi ojczyzny twardym w przeciwnościach być należy".

Pełen tych nieokreślonych marzeń zjawił się w Głupowie i przede wszystkim poddał surowej rewizji zamiary i czyny swoich poprzedników. Ale gdy spojrzał na karty historii, to aż jęknął. Przeszli przed nim w korowodzie i Klementij, i Wielikanow, i Lambrokakis, i Bakłan, i markiz de Sanglot, i Ferdyszczenko, ale co robili ci ludzie, o czym myśleli, jakie mieli cele? Tego nie można było określić w żaden sposób. Wydawało się, że cały ten szereg, to jedynie senne widzenie, w którym przewijają się postaci bez twarzy, w którym słychać jakieś nieokreślone okrzyki, podobne do dalekiego gwaru pijanego tłumu... Oto wyszedł z mroku jakiś cień, klapnął: raz-raz! — i znikł niewiada gdzie; spojrzeć, a na jego miejscu pojawia się już drugi cień i również byle jak klapie, i znika... „Zzniszczę!", „Nie zzniosę!" słychać ze wszystkich stron, a co zniszczę, czego nie zniosę — nie można się zorientować. Człowiek rad by zejść z drogi, wcisnąć się w kąt, ale ani zejść z drogi, ani wcisnąć się nie można, ponieważ z każdego kąta rozlega się wciąż to samo „zzniszczę!", które pędzi ukrywającego się w drugi kąt i tam go z kolei dogania. Była to jakaś dzika energia wyzbyta wszelakiej treści, tak że nawet Borodawkin pomimo swej zajadłości zwątpił nieco o jej walorach. Jeden tylko radca stanu, Dwojekurow, korzystnie wyróżniał się z tego barwnego tłumu administratorów, wykazywał umysł subtelny i wnikliwy, i w ogóle widać było, że jest kontynuatorem tego dzieła przemiany, którym zaznaczył się początek osiemnastego stulecia w Rosji. Jego więc oczywiście wziął sobie Borodawkin za wzór.

Dwojekurow uczynił bardzo wiele. Wybrukował ulice: Szlachecką i Wielką, ściągnął zaległości podatkowe, opiekował się nauką i czynił starania o założenie w Głupowie akademii. Główna jednak jego zasługa polegała na tym, że wprowadził do użytku musztardę i liście bobkowe. To ostatnie posunięcie do tego stopnia zastanowiło Borodawkina, że natychmiast przyszła mu do głowy zuchwała myśl, aby również postąpić w taki sam sposób, jeśli chodzi o prowansalską oliwę. Zaczęło się zasięganie informacyj, jakich metod użył Dwojekurow, aby zabezpieczyć sobie powodzenie w zamierzonym przedsięwzięciu, ponieważ jednak okazało się, że akta archiwalne jak zwykle były spalone (a może nawet umyślnie zniszczone), więc musiał zadowolić się ustnymi podaniami i opowieściami.

— Wiele było u nas wszelakiego zamieszania! — opowiadali starzy ludzie. — I żołnierzom kazano nas chłostać, i zwyczajnie chłostano... Wielu przez tę właśnie sprawę poszło na Sybir!

— Czyli, że były bunty? — pytał Borodawkin.

— Bo to mało było buntów! U nas, panie, co do tego, to wiadomo: jak chłostają — to już na pewno bunt!

Z dalszych pytań okazało się, że Dwojekurow był człowiekiem upartym i że zamyśliwszy raz jakieś przedsięwzięcie, doprowadzał je do końca. Działał on zawsze na wielką skalę, to znaczy i uśmierzał i niszczył bez reszty, ale jednocześnie rozumiał, że nie wystarczy tego jednego sposobu. Dlatego też, niezależnie od ogólnych posunięć, przez kilka lat z rzędu dokonywał nieprzerwanie i nieustannie separatywnych nalotów na domy mieszkańców i uśmierzał każdego z osobna. W ogóle w całej historii Głupowa zastanawia jeden fakt. Dziś wytępią głupowców i zniszczą ich wszystkich co do nogi, a jutro, patrzeć, znów zjawiają się głupowcy i nawet wedle zwyczaju na zgrodkurow umarł, a dwaj starostowie, jego następcy, nie tylko że nie kontynuowali jego reform, lecz nawet, że się tak wyrażę, zapaskudzili je. I co najważniejsza, głupowcy okazali się niewdzięcznikami. Bynajmniej nie martwili się skasowaniem cywilizacji wprowadzanej przez władze, a nawet zdawali się z tego cieszyć. Musztardę w ogóle przestali jadać, a plantacje przeorali, obsadzili kapustą i obsiali grochem. Słowem, stało się to, co się zawsze zdarza, gdy oświecenie zbyt wcześnie przychodzi do ludów niemowlęcych i w sensie obywatelskim niedojrzałych. Nawet kronikarz z pewną ironią wspomina o tej okoliczności: „Przez wiele lat wznosił (Dwojekurow) ów przemyślny gmach, a nie przewidział, że buduje go na piasku". Ale widocznie kronikarz zapomniał z kolei, że na tym właśnie zasadza się splot ludzkich poczynań, aby dziś budować „na piasku" jeden gmach, a jutro— gdy runie — rozpoczynać budowę nowego gmachu na tymże samym „piasku". Okazało się w ten sposób, że Borodawkin zdążył w sam czas, aby ocalić ginącą cywilizację. Namiętność budowania „na piasku" dochodziła w nim prawie do opętania, całymi dniami i nocami myślał, co by tu takiego wybudować, co nagle po wzniesieniu runęłoby i napełniło wszechświat gruzem i pyłem. I tak myślał, i owak, ale tak naprawdę niczego nie mógł wykoncypować. Wreszcie z przyczyny braku oryginalnych myśli poprzestał na tym, że poszedł dokładnie po tropach swego poprzednika.

— Mam związane ręce — skarżył się gorzko głupowcom — gdyby nie to, pokazałbym wam, gdzie raki zimują!

Tu przy okazji dowiedział się, że głupowcy przez opieszałość poniechali zupełnie używania musztardy, i dlatego na początek ograniczył się tylko do ogłoszenia, że jest ono obowiązujące, a za nieposłuszeństwo dodał jeszcze jako karę oliwę prowansalską. A jednocześnie postanowił w sercu swoim: dopóty nie składać oręża, dopóki w mieście pozostanie choć jeden wątpiący.

Ale głupowcy także byli nie w ciemię bici. Energii działania przeciwstawiali z wielką pomysłowością energię bierności.

— Rób z nami co chcesz! — mówili jedni. — Jak ci przyjdzie ochota, to kraj na kawałki, jak zapragniesz, to zjedz w kaszy, a my się nie zgadzamy!

— Nam, bracie, nie dasz rady! — mówili drudzy. — Myśmy nie tacy jak inni, którzy w tłuszcz porośli! Z nas, bracie, nawet i drzazgi nie ma skąd odłupać!

A przy tym wytrwale klęczeli.

Oczywiście, gdy zetkną się te dwie energie, to wynika z tego zawsze coś bardzo interesującego. Nie ma buntu, ale nie ma też prawdziwej uległości. Jest coś pośredniego, na co przykłady widzieliśmy za pańszczyzny. Zdarzało się, że gdy pani natrafi na karalucha w zupie, to woła kucharza i każe mu tego karalucha zjeść. Kucharz weźmie karalucha do ust, widać wyraźnie, że go żuje, ale przełknąć się nie kwapi. To samo działo się z głupowcami: żuli, ile wlezie, a przełknąć nie kwapili się.

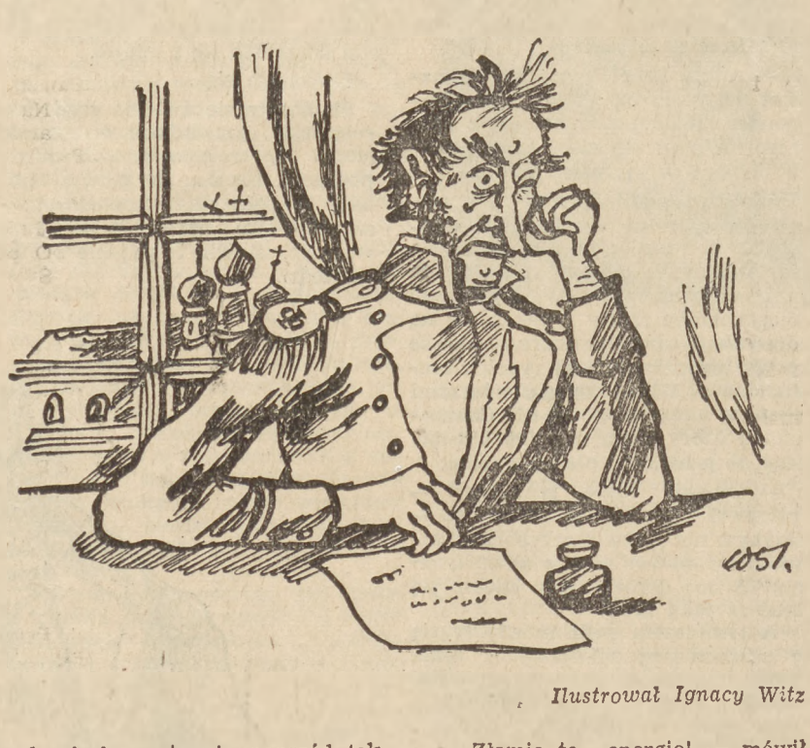

Ilustrował Ignacy Witz

madzeniach występują naprzód tak zwani „starzy" (zapewne „z tych młodych, ale wcześni"). W jaki sposób narastali —było to tajemnicą, ale tajemnicę tę doskonale zgłębił Dwojekurow i dlatego też nie żałował rózeg. Jako prawdziwy administrator rozróżniał dwa rodzaje chłosty: chłostę bez rozpatrzenia i chłostę z rozpatrzeniem i chełpił się tym, że był pierwszym starostą, który wprowadził lanie z rozpatrzeniem, gdy tymczasem wszyscy jego poprzednicy tłukli jak bądź i często nawet całkiem nie tych, których należało. I istotnie działając w sposób rozsądny i ciągły osiągnął znakomite rezultaty. Przez cały czas sprawowania przezeń urzędu starościńskiego, głupowcy nie tylko że nie siadali do stołu bez musztardy, lecz nawet zaprowadzili u siebie dość duże plantacje gorczycy, aby sprostać potrzebom eksportu. „I zakwitł gród owy, jako lilija polna, posyłając ów gorzki produkt po wsze najbardziej oddalone krańce Imperium Rosyjskiego i otrzymując wzamian drogocenne metale i futra". Ale w 1780 roku Dwoje-

— Złamię tę energię! — mówił Borodawkin i powoli, bez pośpiechu obmyślał swój plan.

A głupowcy klęczeli i czekali. Wiedzieli, że to bunt, ale nie klęczeć nie mogli. Panie! Ileż to przemyśleli w tym czasie! Myśleli sobie: jak zaczną teraz jeść musztardę, to w przyszłości mogą ich zmusić do jedzenia jeszcze jakiejś tam obrzydliwości; jak nie zaczną — to żeby nie przyszło do spróbowania batogów. Wydawało się, że klęczenie stanowi w tym wypadku drogę pośrednią, która może ułagodzić i tę i drugą stronę.

Naraz dał się słyszeć głos trąby i bicie bębna. Borodawkin, zapięty na ostatni guzik i pełen odwagi, wyjechał na białym koniu. Za nim szły armaty i karabiny. Głupowcy sądzili, że starosta jedzie na podbój Bizancjum, a wyszło na to, że umyślił podbić ich samych...

Tak zaczął się ów szereg niezwykłych wydarzeń, które opisuje kronikarz pod wspólną nazwą „wojen oświatowych".

Michał Sałtykow-Szczedrin
przełożył Seweryn Pollak

ERWINA GROTEN-SONECKA

Dziennikarz Troff walczy o prawdę

Pierwsza nasza znajomość z daną książką — to rzut oka na okładkę. Wymowny i niedwuznaczny tytuł powieści współczesnego niemieckiego pisarza F. Erpenbecka (ur. 1897 r.) „Spekulanci" * od razu naprowadza czytelnika na właściwy trop i zdradza, że głównym motorem akcji będzie pieniądz i związane z nim machinacje.

Tyle mówi karta tytułowa. Przewidywania okazują się słuszne po zaznajomieniu się z powieścią, której podtytuł mógłby brzmieć: „Mit o materialnej niezależności burżuazyjno-liberalnej prasy" albo zwięźlej: „Pieniądz contra prawda". Dramatyczny pojedynek wolności słowa i przekonań z wszechwładzą kapitału, postępu z reakcją, stanowi istotną treść „Spekulantów". Akcja toczy się wprawdzie w Berlinie w 1881 r., ale wnioski narzucające się z jej przebiegu są przedziwnie aktualne w odniesieniu do współczesnej rzeczywistości w państwach o ustroju kapitalistycznym.

Młody i zdolny dziennikarz Werner Troff, współpracownik mieszczańsko - postępowej gazety w Berlinie, odważył się w cyklu artykułów odsłonić nieludzkie odnoszenie się pruskich właścicieli ziemskich do polskich robotników sezonowych: średniowieczny, feudalny wyzysk. Wybucha skandal. Troff traci posadę, zostaje oskarżony o zgorszenie publiczne i wyrokiem sądu, w którym zasiada krewny obszarnika zaatakowanego przez Troffa, skazany na grzywnę. Sąd — jak to autor z gryzącą ironią przedstawia — nie służy sprawiedliwości, ale interesom klasy posiadającej, a groteskowy przewód sądowy sprowadza się nie do wyświetlenia, lecz zręcznego zatuszowania istotnego drażliwego stanu rzeczy.

To przykre doświadczenie nie stanowi jednak dla Troffa dostatecznie uświadamiającej lekcji życiowej. Pracując jakiś czas spokojnie na nowym stanowisku w gazecie umiarkowanie liberalnej, występuje znowu z artykułem w obronie pewnego zdolnego robotnika-wynalazcy przeciw jednej z najbardziej wpływowych firm berlińskich, która chce ten patent za grosze od biedaka wyłudzić. I znowu w rezultacie ostrego starcia z redaktorem, reprezentantem obłudnej moralności mieszczańskiej, Troff traci posadę, nie chcąc się wyrzec wolności słowa. Znaczna część oportunistycznych kolegów i redaktorów odsuwa się od Troffa, który znajduje się naraz poza nawiasem środowiska, w którym dotąd obracał się i pracował. Postanawia jednak pozostać sobie wierny i głównie z myślą o swym oszukanym robotniku wynalazcy obejmuje redakcję osławionego brukowca, zakupionego przez chciwego radcę handlowego Hagebeila. Udaje mu się wprawdzie dopomóc owemu wynalazcy, lecz nie udaje się zmienić oblicza gazety, w której pracują kreatury przekupione przez spekulanta Hagebeila. Troff chcąc służyć tylko prawdzie zostaje wbrew swej woli wciągnięty do brudnej i brutalnej rozgrywki dwóch finansistów-konkurentów.

Przeciwstawiając spekulantom-kapitalistom i zaprzedanym im redaktorom kupczącym ideami demokracji postępowego dziennikarza, nie wyidealizował go autor i nie uczynił pozytywnym bohaterem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Troff — szlachetny, uczuciowy, łatwo zapalny, szybko też stygnie i szybko się załamuje (alkohol jako ucieczka w nieszczęściu). Walka jego nie wypływa z przemyślanego programu. Rządzą nim impulsy. Brak mu niezachwianej wiary. Troff jest tylko liberalnym inteligentem bez mocnego kręgosłupa politycznego i do pewnego stopnia społecznym krótkowidzem. „Jesteśmy ofiarami jakiejś wyższej, niepojętej, ohydnej przemocy" — stwierdza rozmyślając o losie biednego wynalazcy i własnej bezsilności — lecz nie umie jej nazwać po imieniu ,skonkretyzować — nie uświadamia sobie w całej pełni ciążącej nad nimi dyktatury kapitału.

Podczas rozprawy powoduje się sentymentem i nie dopuszcza do ujawnienia prawdy, mogącej skompromitować jego ex-narzeczoną. Bierze niepopełnioną winę na siebie. Gest bardzo szlachetny — i nieżyciowy. Dla ratowania tzw. honoru kobiety niegodnej jego poświęcenia zaprzepaszcza swój ostatni atut — postępuje jak romantyczny kochanek, nie zaś jak prawdziwy bojownik ideowy.

Ta donkiszoteria Troffa może zaskoczyć czytelnika, nasunąć różne refleksje i wywołać wrażenie, że postać ta wymknęła się pod koniec powieści autorowi spod pióra, ale głębsza analiza jego postępowania od początku każe nam przyjąć, że nie jest to błąd kompozycyjny, lecz świadome posunięcie autora. W tym załamaniu się i chwiejnej, pełnej sprzeczności i rozterek postawie Troffa zawarł autor swój sąd o niemieckiej postępowej inteligencji mieszczańskiej z tej epoki i wykazał jej polityczną niedojrzałość i niezdolność do konsekwentnej walki. Klęska Troffa jest historycznie uwarunkowana i uzasadniona. Bankructwo życiowe Troffa — to nie tylko przegrana na całej linii jednostki, zakończenie takie ma swoje głębsze i szersze, poza indywidualne znaczenie, wypływa bowiem z nieuchronną logiką jako smutny wniosek z przesłanek ówczesnego kapitalistycznego ustroju reakcyjnego państwa niemieckiego. Dziennikarz Troff, naiwny szermierz prawdy i obiektywizmu, musiał przegrać wyzwawszy do boju dwie podstawowe potęgi państwowe: naprzód junkrów, potem przemysłowców i bankierów.

Troff, nie zdając sobie sprawy z mechanizmu życia gospodarczego, patrzy na świat przez różowe okulary złudzeń postępowego inteligenta. Wierzy w materialną niezależność „wielkiej, liberalnej prasy" mieszczańskiej — nie dostrzegając do czasu jej ścisłego zazębiania się z interesami finansjery i ciężkiego przemysłu — wierzy w jej neutralność i bezstronność i może nawet do końca nie zrozumie, że nie ma na nie miejsca w państwie kapitalistycznym, gdzie istnieć mogą jedynie jako zręcznie podtrzymywany mit pozostający na usługach klas rządzących.

W całym szeregu scen i obrazków nakreślonych z zacięciem rasowego satyryka piętnuje autor oportunizm, sprzedajność, obłudę prasy mieszczańskiej. „Demokracja, postęp, liberalizm" — to przecież tylko szyld reklamowy ,a o to, aby naprawdę nic się nie zmieniło na niekorzyść sfer posiadających, „o to dbać będą te archanioły... ci co zamienili miecz ognisty na gęsie pióro i stoją na straży przed kasami ogniotrwałymi nawet najohydniejszych spekulantów giełdowych" — redaktorzy. Czerpiąc zapewne z własnego wieloletniego doświadczenia dzieninkarskiego, odmalował autor stosunki panujące w prasie, której knebluje usta z jednej strony oficjalna policyjna cenzura, z drugiej nieoficjalny nacisk odpowiednich czynników kapitalistycznych. Troff równie uczciwy w życiu prywatnym jak i w pracy dziennikarskiej — to biały kruk w gronie swych kolegów. Walka jego o prawdę, o wolność słowa — to typowa, skazana z góry na klęskę walka osamotnionego inteligenta - idealisty, nie znajdującego znikąd poparcia. Nie mogło mu go udzielić środo... sko — syte mieszczaństwo, żyj... jedynie żądzą wzbogacenia się, a... dynie do tego powołany czynnik... rewolucyjny proletariat — znaj... wał się w owym czasie w Niemcz... dopiero w stadium krzepnięcia, ... ganizowania się utrudnionego p... drakoński system wewnętrznej p... tyki żelaznego kanclerza Bismar... uosobienia reakcjonizmu, au... „praw wyjątkowych" z lat 1878... 1890 przeciw socjalistom.

Żałować należy, że autor nie wp... wadził postaci uświadomionych ... botników czy działaczy socjalde... kratycznych, a ograniczył się ... przygodnej sylwetki owego rzemi... nika - wynalazcy. Szersze tło p... tyczno - socjalne zarysował a... jedynie z lekka w ogólnych rzut... uzupełniając je zgrabnie wpleci... mi w rozmowę poszczególnych ... wzmiankami na temat aktualn... kwestii społecznych. Szkoda jedn... że o pewnych sprawach tylko słys... my, że nie dzieją się one bezpoś... nio na płaszczyźnie literackiej a... że ich nam autor nie unaocznił. I... np. rozmowa prowincjonalnego ... cy konsystorskiego z nadwor... kaznodzieją Stöckerem rzuca ... światła na specyficzną rolę ów... snego kleru niemieckiego, sprzyn... rzonego ze świecką reakcją i kap... listami w zwalczaniu socjaldemok... cji. Na przestrzeni tylko kilku st... lecz jakżeż dosadnie scharakter... wał autor Stöckera, twórcę żydo... czej partii, cichego przyjaciela b... kierów. Za finansową pomoc odp... się on swoim protektorom zręc... propagandą wśród robotników, ... rych usiłuje wszelkimi sposobami ... zyskać.

Dziwnie znajome są hasła ów... snej partii chrześcijańsko - de... kratycznej, slogany o wyższ... Niemców, czystości rasy, czerwo... truciźnie, odżydzeniu życia gospo... czego. Cała ta tak krytycznie p... autora zobrazowana orgia upojon... własną mocą pruskiego nacjonali... tłumaczy czytelnikowi, gdzie na... szukać korzeni faszyzmu niemiec... go i dlaczego hitleryzm znalazł ... podatny grunt właśnie w Niemcz... zepchniętych przez Bismarcka ... drogę szowinistycznego imperializ... Przecież tacy młodzieńcy jak ż... śnie śmieszny a zarazem wstręt... dzący Pieper-junior staną się ... wieku później entuzjastycznymi z... lennikami Hitlera, a historia za... chu na Wilhelma I, odpowied... kłamliwie spreparowana przez re... cję żywo przypomina spalenie Re... stagu.

Bogactwo problematyki publ... stycznej nie zaciążyło jednak uj... nie nad „Spekulantami" pod wz... dem artystycznym. Wszystkie pos... ci, nawet poboczne, jak np. gon... redakcyjny, są wyraziste, żywe, ... papierowe, a doskonale skompo... wana akcja — umiejętne stopnio... nie efektów, brak dłużyzn — trzy... w napięciu od pierwszej do ostat... strony.

Przekład potoczysty, a przyp... tłumacza dopomagają polskiemu c... telnikowi zorientować się w sp... wach niedostatecznie mu znanych... Szkoda tylko, że nie są konsekwe... nie stosowane, np. brak komentar... gdy mowa o zamachowcach (Hö... i Nöbiling), a właśnie w tym miej... byłby pożądany.

„Spekulanci" są jedną z najszc... śliwszych pozycji Klubu Odrod... nia; redakcja winna była jednak ... względu na to, że Erpenbeck jest ... Polsce nieznany, poprzedzić powi... krótkim wstępem z życiorysem au... ra. W ogóle zaopatrywanie powie... autorów obcych przedmową inform... cyjną powinno dzisiaj, kiedy ksią... docierają do jak najszerszych rzes... czytelników, stać się regułą obow... zującą.

Erwina Groten-Sonecka

*) Fritz Erpenbeck: Spekulanci, Klub Odrodzenia, Czytelnik, 1950 r., tłumaczył dr. A. Guttry.

JERZY PŁAŻEWSKI *PROPOZYCJE FILMOWE (4)*

Konflikt czy środowisko?

Białe plamy w okolicy archipelagu — Kłócę się z reżyserem — Companeez w roli (dawnego) Szostakowicza — Dwaj panowie wstają zza biurek, czyli o monotonii — Baby à la Ćwierciakiewiczowa — Środowisko jest pierwsze — Zaglądamy za podszewkę — Kęsim komercjalnemu zwyczajowi.

KTÓRYŚ ze znakomitych kpiarzy — z rozrodzonej familii Franców Fiszerów — powiedział, że dramaturgią rządzą prawa równie ścisłe i precyzyjne, jak prawa wyższej matematyki. Tylko nikt ich nie zna.

Dobre — jako tak zwana złota myśl. Ale już nieco przestarzałe. Uzbrojeni lepiej od wielkich kpiarzy epoki mieszczańskiego eklektyzmu coraz skuteczniej walczymy z niepoznawalnym. Na wielkiej mapie naszej świadomości estetycznej białe plamy dziewiczych puszcz znikają równie szybko, jak białe plamy z magellanowskiej mapy świata. Równie szybko — to znaczy dość szybko, wbrew poszeptywaniom pesymistów.

Sporo białych plam na tej estetycznej mapie widnieje do dziś w okolicy archipelagu twórczości filmowej. Nic dziwnego. W te mało zbadane dziedziny współcześni konkwistadorzy krytyki zapuszczają się niechętnie i niegłęboko. Ale i te białe plamy znikną. Muszą zniknąć.

Rozmawiałem niedawno z jednym z naszych realizatorów filmowych. Czynił mi wyrzuty.

— Bo pan w swoich recenzjach często zajmuje stanowisko chłodnego teoretyka. To pan pochwali, to pan zgani, a wcale się pan nie domyśla, że widz obu wydobytych przez pana problemów nawet nie zauważył. Widz chwali to, gani tamto, ale tego znowu *pan* nie dostrzega... Trzeba pamiętać o widzu. I my, reżyserowie, musimy czasem pewną rzecz zrobić dla widza, choć wiemy, że wy, krytycy ,albo jej nie raczycie zauważyć, albo podchwycicie ją celem filuternego przymrużenia lewego oka...

A kiedy potem zabraliśmy się wspólnie do poklasyfikowania powojennych filmów polskich według ich poziomu ideowego i artystycznego — przyjemna to i niewinna rozrywka — okazało się, że mój znakomity interlokutor był zwolennikiem zupełnie odmiennej hier... .chii od ogólnie przez krytykę us... lonej. I znowu swoje votum sep... tum uzasadniał podobnie: że on ... to ze stanowiska szarego widza ... masowego odbiorcy, który „tak ... prawdę" to zupełnie co innego ... bie ceni w filmie, niż krytyk film... wy.

Na jupitera, skąd taka rozbi... ność sądów między poglądami ... dwóch dorosłych ludzi, aktywnie ... jak się to mówi — pracujących ... niwie polskiej kinematografii? A ... białe plamy na mapie świadomo... estetycznej dają znać o sobie. W ... renie nieoznaczonym zrozumiałym ... znakami topograficznymi błędy ... i pomyłki mogą mieć charakt... zgoła zasadniczy.

Czymże jest realizm socjalistyczny w odniesieniu do dramaturgii filmowej? Jest niewątpliwie postępem latem przekomponowywania w ... zję artystyczną nie wydarzeń *prawdopodobnych*, utkanych z pracowicie, a często pomysłowo skonstruowanych szczegółów, lecz wydarzeń *typowych*, będących bezpośrednią funkcją wielkich przemian, funkcją wszystko przenikającej walki ... wego ze starym.

Francuski dramaturg filmowy Jacques Companeez zrealizował ... teligentny i pomysłowy film kryminalny „Kłopotliwe alibi" (Coupable conforme), gdzie Juvet grał ... czterech rzezimieszków i jednego uczciwego człowieka. Film pełen był nieoczekiwanych sytuacji, b...

Z tygodnia na tydzień

IACH 12 i 13 stycznia br. było się w Domu Literatu- arszawie plenarne posiedze- ądu Głównego Związku Li- Polskich, w którym wzięli udział aktywniejsi przed- e wszystkich ośrodków li- kraju. W czasie obrad wygłoszone dwa referaty. utrament, sekretarz gene- P mówił o zadaniach lite- polskiej w okresie Planu o i walki o pokój oraz Ro- rfel przedstawił założenie rydawniczego na 1951 rok. eratami wywiązała się oży- yskusja, w której zabrało udziesięciu pisarzy.

* * *

się uroczysty koncert ina- cyjny nowoutworzonej or- filharmonii Warszawskiej, d batutą Witolda Rowic- konała uwerturę Lenora eethovena i V symfonię kiego. Solistą był Kazi- rocki, który wykonał po wszy własny „koncert ro- ry" na fortepian z towa- m orkiestry.

* * *

ÓRNIA Filmów Fabular- PP „Film Polski" ukoń- cę dwu filmów długome- , które wchodzą na ekra- wszego startu" i „Pre- Warszawskiej". „Pierwszy st młodzieżowym filmem szybowcowej. Scenariusz, teksty piosenek Ludwika o, reżyseria — Leonarda kiego, muzyka — Jerzego zdjęcia — Seweryna Kru- o. W rolach głównych: Chojnacka, Adam Mikoła- anusz Jaroń, Jerzy Pie- icz, Władysław Woźnik, Walter oraz młodzież ka.

awska premiera" 'poświę- Stanisławowi Moniuszce „Halki"', a przede wszy- prapremierze w Teatrze w Warszawie przed 93 la- riusz „Premiery Warszaw- edług pomysłu Miry Zi- napisali Jan Rybkowski w Różewicz. Reżyserował Rybkowski. Nad stroną czuwał prof. Kazimierz W filmie bierze udział chór i balet Państwowej Poznaniu oraz Jan Koe- rzy Duszyński, Barbara ska, Nina Andrycz, Danu- arska, Jan Kurnakowicz

* * *

SZAWIE powstał Teatr erymentalny „Studio", któ- do stworzenia nowych y zespołów świetlicowych. widowiskiem, jakie opra- tr, jest widowisko świet- Wszyscy walczymy o po- ług utworu Kazimierza . Udział w przedstawieniu pło 200 robotników bu- (Hor.

* * *

uczczenia 75 rocznicy uro- ezydenta NRD, Wilhelma był się w kinoteatrze uroczysty pokaz filmu rnego pt. „Droga wzwyż" nach Oben"), obrazują- e powstania i rozwoju rzej Republiki Demokraty-

roga wzwyż" pokazuje, icie zmontowanym repor- krótkich spięć i zabaw- sw. „Cóż za oryginalny po- zachwycała się francuska ieszczańska — Lwi pazur widać w tym, że cała kła historia wydaje się *prawdopodobna!*"

Kłopotliwe alibi" nie by- ością seryjną szmirą hol- obliczoną na gusta kino- sterofilów. Czymże było? m pokazem inteligentnej, ciwej ekwilibrystyki au- Mnie osobiście przypomi- re formalistyczne prelu- W kowicza. Przecież w grun- inteligentne, czy nie, ory- nie, było „Kłopotliwe kryminalnym filmem o ły złodziei.

się tu zda „prawdopodo- Kogo mógł wzruszać nie oderwany od życia? rzeczywistej bandy zło- *pra*

ednym przykładzie widać e plastycznie, że pozor- dramaturga nie przy- się do realizmu socjali- możność czerpania z ob- kadzi tematów *prawdo- owych*, nie jest wcale artystycznego sukcesu. i zapomnimy o takich apitalistycznej kinemato- reakcyjna cenzura, opła- dukcji itd.

śmiało o tzw. monotonii. tematów typowych.

Z tygodnia na tydzień

tażu opartym na materiałach archiwalnych, poszczególne etapy żmudnej drogi narodu niemieckiego, prowadzącej od zgliszcz i ruin ostatniej wojny do budowy — pod przewodnictwem niemieckiej klasy robotniczej i Socjalistycznej Partii Jedności — nowych demokratycznych Niemiec. Film kończą sceny, obrazujące szeroki rozmach ruchu obrońców Pokoju w NRD.

W związku z uroczystym pokazem, w hallu kinoteatru urządzona została wystawa zdjęć fotograficznych, obrazujących życie gospodarcze i społeczne oraz manifestacje pokojowe w NRD. Osobny dział na wystawie stanowią zdjęcia z pobytu Prezydenta Piecka w Warszawie.

* * *

WŁADYSŁAW Jewsiewicki, autor pracy noszącej tytuł: „Przemysł filmowy w Polsce międzywojennej od r. 1919 do r. 1939", wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, uzyskał na Uniwersytecie Łódzkim pierwszy w Polsce stopień doktorski za pracę z dziedziny historii filmu i filmoznawstwa.

* * *

PRZY oddziale łódzkim Związku Literatów Polskich powstało Koło Młodych, które zrzesza 300 początkujących autorów, w większości pochodzenia robotniczego i w 80 proc. należących do ZMP. Koło Młodych organizuje wieczory autorskie, zebrania dyskusyjne i odczyty.

* * *

OCHOTNICZE zespoły świetlicowe związków zawodowych przystąpiły do eliminacji okręgowych przed zbliżającym się ogólnopolskim festiwalem muzyki, pieśni i tańca polskiego, w którym wystąpią obok zespołów zawodowych. Festiwal odbędzie się w maju br. w Warszawie i ma na celu pogłębić znajomość muzyki polskiej oraz pobudzić do dalszej twórczości muzycznej, wiążąc ją z problematyką budownictwa socjalistycznego w Polsce.

* * *

ZWIĄZEK Kompozytorów Polskich zorganizował od września do grudnia ub. roku na terenie całej Polski 16 przesłuchań nowych polskich kompozycji z różnych działów muzyki. Na audycjach tych wykonano około 160 utworów, około 60 kompozytorów. Na kolejnej audycji Sekcji Muzyki Kameralnej wykonano ostatnio Wariacje fletowe Faustyna Kulczyckiego, Sonatę Nr. 4 Grażyny Bacewiczówny oraz Trio na flet, róg i altówkę Henryka Swolkienia.

* * *

NA język węgierski zostały przetłomaczone ostatnio dwie książki polskie: „Kordian i Cham" Leona Kruczkowskiego i „Przy budowie" Tadeusza Konwickiego.

* * *

W Szczecinie odbyło się zebranie literatów, na którym został zawiązany oddział Związku Literatów Polskich. Do Zarządu oddziału weszli: Jerzy Andrzejewski — przewodniczący oraz Witold Wirpsza, Roman Bratny, Edmund Osmańczyk i Franciszek Gil.

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Prawykonania utworów polskich w Krakowie

Szczelnie wypełniony referatami program oraz intensywność obrad Pierwszej Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej w Sprawie Badań nad Sztuką nie pozostawiły dostatecznej ilości czasu na zbyt wielką liczbę koncertów i pokazów muzyki żywej. Poza koncertem Dawnej Muzyki Polskiej na Wawelu (16 grudnia ub. r.), produkcją nowej, IV Sonaty skrzypcowej Grażyny Bacewiczówny, oraz pokazem polskiej muzyki ludowej w trakcie referatu J. i M. Sobieskich jedyną ale za to ważką imprezą muzyczną był koncert symfoniczny Państwowej Filharmonii w Krakowie (dn. 15 grudnia), na którym wykonano po raz pierwszy szereg nowych utworów polskich.

Na wstępie tego koncertu usłyszeliśmy „Uwerturę bohaterską" **Andrzeja Panufnika.** W utworze tym można odnaleźć wiele zalet, dużo dobrych pomysłów i dobrej techniki, wiele silnego, chwilami przejmującego wyrazu, jednak w całokształcie twórczości Panufnika, „Uwertura bohaterska" nie stanowi pozycji mocnej. Programowość — użylibyśmy nawet określenia: deklaratywność — forsowana trochę na siłę, najwyraźniej nie odpowiada refleksyjnej naturze kompozytora, zamiłowanego raczej w subtelnych barwach i półcieniach. W wyniku tego swoistego konfliktu pomiędzy wrodzonymi dyspozycjami, a zamierzeniami autora, ożywionego zresztą jak najlepszą wolą powstał utwór, który częściowo tylko trafia do wyobraźni i przekonania słuchacza.

Bardzo interesująco przedstawia się Symfonia C-dur młodego, dwudziestodwuletniego kompozytora **Tadeusza Bairda,** którego wcześniejsze utwory (Sinfonietta, koncert fortepianowy) omawialiśmy w swoim czasie na łamach „Kuźnicy" i „Nowej Kultury". W symfonii imponuje przede wszystkim ogromne bogactwo pomysłów i łatwość z jaką kompozytor je formułuje w mowie dźwięków. W utworze o tak dużych rozmiarach można by oczywiście znaleźć tu i ówdzie jakieś niewielkie zresztą potknięcia, które z pewnością w następnych pracach Bairda się nie powtórzą. Nie to jednak jest ważne. Najważniejsze, że w pięciu częściach symfonii znajdujemy wiele naprawdę szczerej muzyki i wyjątkową, jak na młody wiek autora zręczność i swobodę w operowaniu fakturą orkiestrową. Świadczy to, że mamy do czynienia z kompozytorem utalentowanym i wierzymy, że jego talent będzie się rozwijał we właściwym kierunku.

Symfonia Bairda składa się z pięciu (zamiast, jak zwykle z czterech) części. Pierwsza z nich nie oparta na schemacie formy sonatowej jest trochę niejasna w konstrukcji, jakby powiązana z l nych fragmentów. Druga natomiast (Quasi largo) posiada wyrazistą budowę trójdzielną i odznacza się nastrojem głębokiego skupienia. Trzecia — rodzaj Scherza — nawiązuje do charakteru muzyki ludowej. W całej zresztą symfonii, jakkolwiek brak cytatów tematyki ludowej **in crudo** przebija wyraźnie świadoma dążność do stylu narodowego w oparciu o elementy melodyki ludu polskiego. Część czwarta (Molto adagio) — to właściwie szeroko rozbudowany powolny wstęp, przygotowujący nadejście finału (Non troppo allegro, ma giocoso), który na odmianę jest bardzo krótki, zwięzły — składa się z przeprowadzenia dwóch tematów, o „kanciastym", trochę prokofiewowskim charakterze i niewielkiej Cody, opartej na pierwszym z tych tematów.

Trzecie pra-wykonanie, które usłyszeliśmy na omawianym koncercie Filharmonii Krakowskiej — to kantata na dwa chóry i orkiestrę pt. „Dwa miasta" **Jana Krenza,** drugiego obok Bairda przedstawiciela młodej „Grupy 49".

Utwór ten został napisany do tekstu „Rozmowa miast" (Warszawa — Moskwa) K. I. Gałczyńskiego. Rozpoczyna go wstęp orkiestralny, na tle którego chóry nie śpiewają, a mówią, skandują pierwsze strofy tekstu. Daje to efekt dość niezwykły, bardzo mocny i wyrazisty, choć nasuwający mimo woli na myśl eksperymenty muzycznych ekspresjonistów. Następuje teraz dłuższe intermezzo orkiestry, oparte na temacie zbliżonym w charakterze trochę do Czajkowskiego. Trzeci epizod (Allegro Giocoso) — to rodzaj imitacyjnego preludium, po którym następuje niemal bachowska w stylu fuga wokalno-instrumentalna. Spokojny, powolny fragment (Lento), rodzaj chorału poprzedza część ostatnią: Tempo di marcia. Część ta rozpoczyna się bardzo interesującym efektem, mówionej imitacji rytmicznej: na tle orkiestry jeden chór skanduje tekst, nadając mu kształt określonych figur rytmicznych, drugi zaś powtarza to samo z pewnym opóźnieniem, naśladując chór pierwszy na podobieństwo kanonu. Po epizodzie tym następuje rodzaj pieśni masowej, potężnie brzmiącej, utrzymanej w rytmie marszowym.

Już z tego krótkiego opisu wynika, że utwór cierpi na daleko posuniętą niejednolitość stylistyczną. Ponad to zdradza trochę niebezpieczną skłonność do efektu za wszelką cenę. To wszystko nie przesłania nam faktu, że kantata Krenza jest dziełem bezspornego talentu, że pokazuje jak środkami prawie wyłącznie tonalnymi można stworzyć coś interesującego, że wreszcie cechuje ją ogromny rozmach zdolny porwać słuchacza.

Oprócz trzech wymienionych nowych utworów wykonano koncert na róg (waltornię) **Kazimierza Sikorskiego,** który omawialiśmy szczegółowo w recenzji z dn. 11 czerwca ub. r. („Nowa Kultura" nr. 11). Ten znakomity, pełen świeżości i czaru utwór, nie został tym razem należycie wykonany. Orkiestra, przeciążona widocznie przygotowaniem pozostałych dzieł nie zdążyła przyswoić sobie w dostatecznym stopniu bardzo przejrzystego i przez to może trudnego akompaniamentu Speszony tym najwyraźniej solista, **Maksymilian Zimoląg** (róg) nie zdołał się wznieść na tak wysoki poziom wykonania na jakim z prawdziwą satysfakcją słuchaliśmy go w czerwcu w Warszawie. Pozostałe utwory wypadły bardzo dobrze, w czym zasługa leży zarówno po stronie orkiestry, jak i utalentowanego dyrygenta Filharmonii Krakowskiej **Witolda Krzemińskiego,** który w przygotowanie koncertu włożył wiele rzetelnego wysiłku artystycznego.

Należy jeszcze choć kilka słów poświęcić omówieniu Czwartej Sonaty na skrzypce i fortepian **Grażyny Bacewiczówny,** wykonanej w przerwie obrad wawelskich przez kompozytorkę, przy niezawodnym akompaniamencie **Kiejstuta Bacewicza.** Jest to utwór wprost zaskakujący — nawet na tle dotychczasowych, coraz ciekawszych osiągnięć autorki. Zaskakujący napięciem emocjonalnym, jakąś prawie brahmsowską głębią skupienia i brahmsowskim rozmachem muzycznej architektoniki. Już temat pierwszy — zdyscyplinowany, prawie klasyczny wnosi coś prawdziwie monumentalnego. Część druga pełna jest nastroju powagi i kontemplacji. Scherzo może najbardziej nawiązuje do dawniejszego „motorycznego" stylu Bacewiczówny. Finał wreszcie nacechowany jest nastrojem jakiejś rewolucyjnej śmiałości i bojowości.

Z prawdziwym naprężeniem oczekujemy następnych dzieł kompozytorki, która ma do powiedzenia wiele rzeczy ciekawych i nowych i której talent stale się rozwija.

Wawrzyniec Żuławski

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Węgierska walka z kułakiem

Do spraw, które obecnie winniśmy nadrobić, gdyż w przeszłości troszczono się o nie zbyt mało albo wcale, należą stosunki kulturalne z narodami: węgierskim, czeskim i słowackim, rumuńskim i bułgarskim, o których sztuce w gruncie rzeczy posiadamy nader skąpe informacje. Od zakończenia wojny wiele zostało odrobione na odcinku wymiany kulturalnej polsko - czeskiej: bardzo liczne obustronne tłumaczenia, stała wymiana naukowców i artystów, a nawet — choć jest to raczej curiosum — teatr bielski grający stale w obu krajach. Natomiast ta sama akcja jeśli chodzi o Węgry, Rumunię i Bułgarię jest ciągle jeszcze zbyt słaba. Jeżeli chodzi o Węgry — jest to szczególnie nienormalne, gdyż w kraju tym występują bardzo podobne problemy gospodarcze i polityczne; przed rewolucją mieliśmy zarówno strukturę rolną jak i formę rządów bardziej zbliżone nawzajem, niż jakiekolwiek inne kraje w Europie środkowej. Stąd i warunki społeczne oraz to co nazywamy pewnym „stylem życia" były podobne. Literatura węgierska jest literaturą ciekawą; wśród Polaków, którzy spędzili lata wojny na Madziarach i dobrze opanowali ten język znajdują się literaci i dziennikarze, tłumaczenia więc nie powinny natrafiać na zbytnie trudności, tymczasem strumyk przekładów albo jest niemal suchy, albo wije się nurtem nader słabym.

Na tym słabiutkim nurcie, którym przedtem dopłynęły dwie sztuki teatralne i dwie, trzy powieści, dopłynęła wreszcie pierwsza pozycja współczesna, w pełnym znaczeniu tego słowa: Sandora Sasdi „Pieśń życia" *). Jej lektura potęguje niezadowolenie ze zbyt małego kontaktu kulturalnego polsko - węgierskiego, gdyż z kontaktu tego my sami moglibyśmy niemało skorzystać, skoro przed pisarzami obu narodów stoją niemal te same problemy.

Akcja powieści toczy się na wsi węgierskiej w okresie dla kraju brzemiennym w wydarzenia: oportunistyczna polityka premiera Nagy'ego, bliska jest już załamania się i na wsi, kulminacyjny moment osiąga walka klasowa dwóch sił: biedniaków wraz z częścią średniaków pod kierownictwem komunistów przeciw bogatym chłopom i rozmaitym elementom poobszarniczym i klerykalnym. Zwycięstwo należy do sił komunistycznych, lecz wygrana nie przychodzi łatwo, jeszcze wtedy reakcja kułacka i ukryte elementy profaszystowskie zajmowały nie tylko czołowe posterunki w hierarchii państwowej, ale kierowały administracją w terenie. Zmagania są więc dramatyczne — i dramatyzm ten Sasdi zanotował w swej powieści tak drapieżnie i przejmująco, że dobrze by było, aby nasi pisarze wykorzystali doświadczenia książki węgierskiego prozaika.

„Pieśń życia" w zasadzie opisuje wieś węgierską w latach 1947/8 jednak dla nas, polskich czytelników, jest ona przede wszystkim opowiadaniem o... walce, którą na naoszej wsi stoczono z reakcyjnym, mikołajczykowskim, skrzydłem dawnego PSL-u, a którą pod wieloma względami toczy się jeszcze ciągle. Węgry miały swego Mikołajczyka (Nagy'ego). W środkowej Europie były to chyba ostatnie dwa kraje, w których socjaliści swą rewolucją musieli odrabiać zaległości rewolucji burżuazyjnej — likwidować feudalną warstwę obszarniczą. Węgry miały też swych wiejskich i małomiasteczkowych proboszczów — tę groźną forpocztę kontrrewolucji. Sasdi opisuje krwawy pogrom antysemicki sprowokowany przez wiejską reakcję razem z proboszczem. Zaraz przypominamy sobie zajścia w Sulejowie i haniebne wydarzenia w Kielcach. Niemal każda strona powieści Sasdiego nasuwa porównania i analogie, co zwiększa zainteresowanie tą lekturą.

Pełną zaletą powieści Sasdiego jest umiejętne ograniczenie się autora do dramatycznych wydarzeń jednej wsi, a równocześnie pokazanie pełnego obrazu sił społecznych i politycznych działających na Węgrzech i walki, jaką one ze sobą toczyły.

Wadą jest zbyt ekspresjonistyczny sposób opowiadania; cały stylistyczny i kompozycyjny balast literatury modernistycznej i awangardowej kładzie się na kartach tej powieści cieniem, który zamąca jej jasność. To poważnie zmniejszy jej poczytność, a więc i krąg jej oddziaływania.

Przekład Tadeusza Fangrata stylistycznie absolutnie rzetelny, w kilku miejscach wzbudza podejrzenia co do merytorycznej dokładności wobec węgierskiego oryginału (n. p. pierwsze zdania XI rozdziału).

Powieść Sasdiego wystawia węgierskiej literaturze współczesnej interesujące świadectwo. Z niecierpliwością czekamy na dalsze tłumaczenia.

K. Koźniewski

*) Sandor Sasdi „Pieśń życia". Powieść. Z węgierskiego tłumaczył T. Fangrat. Wyd. SWO „Czytelnik". Warszawa. 1950. Str. 285.

SPROSTOWANIE

W poprzednim (2) numerze „Nowej Kultury" na str. 2 do artykułu A. Ważyka (O „języku artystycznym") przy wprowadzaniu korekty autorskiej zakradł się błąd zniekształcający pierwsze zdanie szóstego akapitu w 1 szpalcie. Zdanie to powinno brzmieć:

„Niestety, usiłując rozwinąć estetykę realizmu socjalistycznego chwytamy się nieraz przenośnych zwrotów: „język realistyczny" i „język artystyczny".

REDAKCJA

Jeśli nie zamierzamy produkować filmów o szefach band złodziejskich, jeśli obojętne są nam beztreściwe, choć zręczne konstrukcje dramatyczne, wznoszone systemem sztuka dla sztuki, to z drugiej strony stawiamy zdecydowanie na związek z realnym życiem, z rzeczywistymi zainteresowaniami nowego konsumenta kulturalnego. Przepraszam za ten truizm, potrzebny mi jest dla dalszego ciągu. Otóż monotonia w ujmowaniu tematów, zaczerpniętych z węższej kadzi, posiada jeszcze inną nazwę: nieporadność artystyczna.

Tematy „silnie powiązane z życiem" trzeba *w życiu* podpatrywać. Dwóch dramaturgów, snujących za biurkiem opowieść o sabotażu w fabryce, spłodzi rzeczy monotonnie podobne do siebie. Podobnie złe. Ale jeśli wstaną zza biurka i wejdą między ludzi, to każdy napotka innych ludzi i inne problemy. Monotonii nie rodzi powiązanie z życiem — cóż za absurd! — rodzi ją szablon, ubóstwo obserwacji i brak śmiałości twórczej.

O monotonii można nieskończenie, ale pilno mi powrócić do owej rozmowy z realizatorem, porzucam więc naszkicowany zaledwie problem, by jechać dalej. Jedźmy. Nikt nie woła, niestety.

Otóż więc przed nami problem nowego polskiego filmu, zwłaszcza zaś filmu o problematyce współczesnej. Trzeba go nakręcić. Zadanie, zdawałoby się, proste. Niemal, jak u Ćwierciakiewiczowej. Gotowy przepis: weź jeden konflikt z aktualnej rzeczywistości, jednego pozytywnego bohatera, jednego wroga klasowego średniej wielkości, paru niezdecydowanych inteligentów, kilkunastu robotników, agenta obcego wywiadu i Danutę Szaflarską, utłucz razem, zamieszaj, skosztuj.

Proszę się nie uśmiechać — tu ważą się rzeczy poważne! W mózgu dramaturga-scenarzysty powstaje zamysł przyszłego filmu.

Od czego trzeba zacząć? Od *konfliktu,* czy od *środowiska?*

Od środowiska. Tło jest ważniejsze.

Baczna obserwacja środowiska z całą pewnością wyłoni następnie dramaturgowi filmowemu właściwy, typowy, krwisty i aktualny konflikt, natomiast aprioryczne przyjęcie konfliktu, choćby nawet słusznego i typowego wcale nie gwarantuje twórcy, że uda mu się znaleźć i narysować środowisko, w które ów konflikt da się wtłoczyć bez zagięć i pofałdowań.

Powracam do opowiedzianej na wstępie rozmowy z reżyserem. Zgodziliśmy się w niej początkowo na jedno: to „bierze" widza, to zdolne jest nim wstrząsnąć, w czym widz albo: a) widzi samego siebie, albo b) to ,co mu dokładnie pozwolono poznać. Oglądając „Złodziei rowerów" przedwojenny bezrobotny wzrusza się, bo widzi samego siebie sprzed piętnastu lat, zaś piętnastoletni wyrostek wzrusza się, bo film wystarczająco szczegółowo tłumaczy mu beznadziejność sytuacji bohatera. Losy uczciwego człowieka z „Kłopotliwego alibi" mogą bawić, ale nikogo nie wzruszają, bo trudno się wczuć w sytuację sobowtóra herszta bandytów.

Otóż jeśli teraz — oczyma widza, a nie oczyma krytyka, jak chciał mój rozmówca — spojrzymy kolejno na takie filmy, jak „Ostatni etap" i „Stalowe serca", to obu im przyznamy równą słuszność w postawieniu konfliktu (ruch oporu przeciw okupantowi). Gdzie zatem źródło nierówności artystycznej wzmiankowanych filmów? W tym, że za pierwszym razem widz ma do czynienia z prawdziwym, realistycznym środowiskiem więźniów i rzeczywistą atmosferą lagru, za drugim zaś razem spotyka jedynie papierowe, konwencjonalne postacie robotników i umowną atmosferę huty czy kopalni. Pierwsze się widzowi podoba, drugie — nie.

Spójrzmy za podszewkę obu filmom. Autorki „Ostatniego etapu" najpierw same przeżyły i przemyślały piekło Oświęcimia, a potem napisały scenariusz. Twórcy „Stalowych serc" gotowy konflikt wtłoczyli w środowisko źle sobie znane i mało wyzyskane. Nie sugeruję tu bynajmniej, że w najpierwotniejszym pomyśle „Stalowych serc" nie było od razu kopalni. Była. Ale scenarzysta nie znał jej głębiej, obiecywał sobie pogłębić swą wiedzę o niej dopiero *po* narysowaniu planu scenariusza.

Analogicznym do „Stalowych serc" przykładem na tematykę współczesną są „Jasne łany."

Mimo tych wyraźnych w swej wymowie eksperymentów utarł się u nas, niewiadomo czemu, niedobry zwyczaj akceptowania krótkich projektów scenariuszy, a dopiero *potem* zbierania do nich dokumentacji, celem „wzbogacenia rysunku tła."

Brzydki ten zwyczaj ma podłoże wyłącznie komercjonalne: autor scenariusza ,niepewny, czy wykończony scenariusz zostanie zakupiony przez „Film Polski", rysuje jego kontury na słowo honoru, nie troszcząc się o realia. Dopiero w razie akceptacji tego wątłego szkieleciku dochodzi do wniosku, że warto zadać sobie nieco trudu i „w terenie" skonfrontować pomysł z rzeczywistością. Zwykle w toku takiej wizji lokalnej nic się zasadniczego nie zmienia. Co najwyżej dorzuca się parę gwarowych dialogów i dodaje trzy zdjęcia dokumentarne, słabo powiązane z całością.

Najwyższa pora zerwać z tym zwyczajem. Nie konflikt najpierw, najpierw środowisko.

A teraz odpowiedź memu realizatorowi. Nie może być rozbieżności sądów widza i krytyka, jeśli krytyk stać będzie niewzruszenie na stanowisku, że tylko prawdziwe konflikty i prawdziwi ludzie składają się na wielką sztukę. A jeśli krytyk tego nie widzi, to tym gorzej dla niego. Bo widz zobaczy to z pewnością.

Jerzy Płażewski

ALEKSANDER JACKIEWICZ
Jan bez ziemi
str. 395 zł. 12

JERZY MAREK
Nad nami świta
str. 258 zł. 6.60

MARIA MAJEROVA
BALLADA GÓRNICZA
wyd. drugie
str. 148 zł. 4.50

Państwowy Instytut Wydawniczy

mała kronika

Dosyć uważnie przeczytałem trzy kolejne artykuły Jerzego Turowicza, redaktora „Tygodnika Powszechnego", w których starał się on wytyczyć kierunek taktyki i strategii światopoglądu katolickiego. Pierwszy artykuł, napisany wespół ze Stanisławem Stommą, redaktorem miesięcznika „Znak", nazywał się: „Katolicy w Polsce Ludowej" (nr 299); drugi mówił o dwojakiej: ziemskiej i nadziemskiej roli Kościoła („Ecclesia" nr 302), wreszcie trzeci, „Bilans półwiecza", zamieszczony w noworocznym numerze pisma, dawał rzut katolickiego oka na historię pierwszej połowy naszego wieku. Jak wiadomo, „Tygodnik Powszechny" jest pismem Xiążęcej Kurii Metropolitalnej, Jerzy Turowicz przemawia w imieniu hierarchii kościelnej, wyraża jej oficjalne zapatrywania, daje coś w rodzaju wytycznych, wstępniaków dla inteligenckiego aktywu katolickiego. Złe to wytyczne, wykrętne wstępniaki. Obaj redaktorzy wyraźnie odcinają się od współudziału w budowaniu socjalizmu w Polsce. Natomiast cieszy ich to wszystko, co dałoby się podciągnąć do pojęcia COPu, Centralnego Okręgu Przemysłowego, budowanego z taką reklamą przed wojną. Popierają plan sześcioletni głównie z tego powodu, że „jest to rzadki w naszych dziejach wypadek akumulacji sił ekonomicznych narodu z myślą o dalszej przyszłości". Rzadki, a więc były inne, podobne. Kiedy: czy w Polsce złotej wolności szlacheckiej, w Królestwie Polskim Druckiego-Lubeckiego, w przywiślańskim kraju Kronenbergów i Lilpopów, w Galicji Szczepanowskiego, w „niepodległej" Wspólnoty Interesów i zapałek dzielonych na czworo?

Trzeba powitać z uznaniem, że obaj redaktorzy uważają za obowiązek prasy katolickiej wytworzenie wprawdzie nie entuzjazmu, ale chociażby „życzliwości i optymizmu" wokół planu sześcioletniego. Boję się tylko, że znowu nasza szacowna hierarchia kościelna będzie się wlokła po śladach narodu, łykając mazowiecki kurz, jak wtedy, gdy podpisywaliśmy apel sztokholmski.

Nie lubię ludzi dwulicowych. Turowicz i Stomma powiadają, że nie są marksistami ani socjalistami. To zrozumiałe. Ale: „Widzimy — mówią — w socjaliźmie wiele stron dodatnich. Niemniej ideał socjalistyczny nie jest naszym ideałem. Dlatego nie możemy i nie powinniśmy przyjmować na siebie odpowiedzialności za realizację tego ideału w Polsce". Praktycznie: jest to piłatowe umywanie rąk. Kto nie chce brać na siebie żadnej odpowiedzialności za przyszłość narodu, kto kryguje się, „że nic mnie nie obchodzi", kto budując — jak mówią obaj redaktorzy — „wspólny dom", nie bierze na siebie odpowiedzialności za jego wygląd, kto rezerwuje sobie prawo opuszczenia rąk wtedy, gdy tylko mu się to będzie podobało, kto nie widzi, że miliony wierzących i niewierzących, że masy pracujące narodu odpowiedzialność tę na siebie wzięły — ten nie czuje, nie rozumie, nie widzi życia narodu, ten jest mu obcy ,jak mech na korze jesionu, jak jemioła na dębie.

Murarzu, mówił pewien poeta niemiecki, dopiero wtedy skończyłeś robotę, gdy zabezpieczysz swój dom od bomb i zniszczenia, gdy wywiesiwszy wiechę na szczycie, walczysz o pokój. Zły to murarz, który wystawia dom na zniszczenie. W drugim artykule omawia Turowicz nadziemską i ziemską rolę kościoła. Nadziemską streszcza bardzo wymownie, podając podstawowe twierdzenia katechizmu, zastrzegłszy się, że dla niedowiarka wydadzą się one naiwne. I tak jest istotnie, ale pomińmy tę sprawę: wiara jest prywatną rzeczą człowieka; wiara, ale nie polityka. W całym tasiemcowym artykule Turowicz nie mówi ani słówka o dzisiejszej, aktualnej, ziemskiej, realnej roli kościoła jako organizacji, kierowanej przez Watykan, uprawiający specyficzną politykę, która służy interesom monopolów amerykańskich. W trzecim artykule Turowicz wypowiada wiele trafnych, powszechnie znanych, niezaprzeczalnych prawd na temat potworności systemu kapitalistycznego, ucisku człowieka przez człowieka, walki klas, wyzysku i rabunku narodów kolonialnych. Ale w tym bilansie nie znalazło się miejsca na napiętnowanie agresji amerykańskich, francuskich, angielskich imperialistów na Koreę, Vietnam, Chiny; nie wyrwało się żadne słowo potępienia pod adresem kościelnych banków, trustów, latyfundiów, machiny ucisku i prowokacji. Jest on jak letnia woda, ta najgorsza ze wszystkich wód, które ani ziębią, ani grzeją serce człowieka, ale je usypiają. Gazety doniosły, że Eisenhower ma być przyjęty na audiencji u papieża, czy fakt ten nic nie mówi Turowiczowi?

Nikt nie odbiera ludziom prawa do wiary. To prawo jest ich własnością Ale walka o życie człowieka i ludzkości trwa na ziemi, na wspaniałej, żyznej, urodzajnej ziemi, niszczonej, plugawionej przez imperializm i jego agentury; i nie widzieć strasznej groźby imperializmu, nie walczyć przeciw niej codziennie, nie zmagać się z zaprzedaniem Watykanu, nie ostrzegać przed przekupnymi, judaszowymi pasterzami, nie zacisnąć pięści przeciw bombie atomowej, mieć serce podlane letnią serwatką jak twaróg — to już nie mądrość polityczna, to już nawet nie głupota polityczna i ludzka, to już tylko — hipokryzja.

A może się mylę? Piszę te słowa, szykując się do wyjazdu na proces krakowski. Odsłania on potworną, przerażającą tragedię uwiedzionej przez „pasterza" młodzieży, demaskuje jawne łamanie ustaw i zobowiązań. Matka miała dwu synów: starszego i młodszego. Jeden przystał do bandy podziemnej, która zamordowała nauczyciela i milicjanta, drugi — chciał z nią walczyć. Banda poszła do księdza, aby jej poradził, co zrobić z tym krnąbrnym chłopcem. „Zamordować" — zadecydował ksiądz. A kiedy mordercy znaleźli się w więzieniu, oczekujemy od Episkopatu, aby zgodnie z zawartym porozumieniem przeprowadzono proces kanoniczny tego nikczemnika, aby zdarto z niego szaty kapłańskie, które splamił jak Judasz. Dla pamięci tych pomordowanych, dla ich rodzin, dla sumienia własnego i swych czytelników — niech redaktor Jerzy Turowicz raz jeszcze zakreśli granicę nadziemskiej i ziemskiej funkcji hierarchii.

Tadeusz Borowski

Komentarze

Miasto umiera dla bomby atomowej

Na granicy Południowej Karoliny i stanu Georgia w Ameryce kończy żywot miasteczko Ellenton. Z końcem stycznia mieszkańcy muszą opuścić Ellenton, a domy, szkoły, kościoły muszą zniknąć z powierzchni ziemi. Władzę nad całym obszarem obejmuje firma Dupont de Nemours, która wybuduje tu olbrzymie zakłady produkujące części składowe bomby wodorowej.

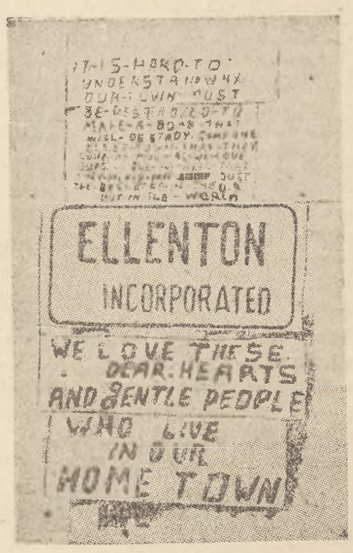

Mieszkańcy Ellentonu, którym rozkazano opuścić rodzinne miasto, wywiesili u jego rogatki na znak protestu tablicę, której podobiznę reprodukujemy powyżej. Proste i szczere słowa, słowa szarego Amerykanina, głoszą:

„Trudno pojąć, dlaczego nasze miasto musi ulec zniszczeniu celem wyprodukowania bomby, która z kolei ma zniszczyć inne miasto miłowane przez swoich mieszkańców, tak jak nasze przez nas. Kochamy zacnych i dobrych ludzi, którzy mieszkają w naszym rodzinnym mieście".

kst.

Szpicel w szpitalu

Superpolicemanem Trumana jest Edgar Hoover, kierownik amerykańskiej policji politycznej i wywiadu, tzw. „FBI". Edgar Hoover wyruszył na wielkie łowy. W Stanach Zjednoczonych ogłoszono ogólnonarodowe polowanie na demokratów, zwolenników pokoju, nieamerykańskich Amerykanów i innych „czerwonych". Wielki łowczy werbuje w tym celu myśliwych, tropicieli i naganiaczy oraz sforę psów gończych.

Hoover zwrócił się najpierw do wszystkich stanów Ameryki z propozycją wydania specjalnej instrukcji dla nauczycieli, aby ci pomogli w tropieniu „wrogów państwa". Winni oni w szkołach przy pomocy „zręcznych pytań i obserwacji rodzinnych stosunków każdego ucznia" demaskować elementy „wywrotowe". Mówiąc prostym językiem, Hoover chce ze wszystkich nauczycieli zrobić szpiclów.

Ale to nie wszystko. Przed świętami Bożego Narodzenia ukazał się w organie Amerykańskiego Związku Lekarzy artykuł, który wzywa lekarskie organizacje zawodowe do nakłonienia swoich członków do szpiclowania chorych. Lekarze powinni, czytamy tam, „niezauważenie poddawać pacjentów politycznemu przesłuchaniu", a potem — donosić o wszystkim FBI.

W przyszłości zatem amerykański lekarz w czasie badania chorego będzie brał pacjentów na spytki. Pytania o przebiegu ich choroby będą przeplatane politycznymi rozmówkami. Kiedy pacjent poskarży się, że ma 38 stopni gorączki, doktor zagadnie go o 38 równoleżnik w Korei itd. po nitce do kłębka. Pacjenci w Ameryce muszą się mieć na baczności. Człowiek zachoruje na zapalenie płuc i zamiast do szpitala dostanie się... do kryminału.

rk

Bernard Shaw jako „inteligentny bandyta"

Gdyby nagle ożył Byron i jeszcze raz umarł w Missolunghi, przebywszy morza, by przybyć na pomoc walczącej o wolność Grecji, nie znalazłby uznania w Grecji dzisiejszych jej władców. Gdyby nagle ożył Michelet i poświęcił wiele swych pięknych kart starożytnej Grecji, jak to już raz uczynił, nie znalazłby również uznania w Grecji monarchistycznej i faszystowskiej.

To jeszcze mało. Obydwu napiętnowano by nie tylko jako bezbożników i jakobinów, nie tylko jako burzycieli boskiego porządku monarchii, ale zgoła jako zwykłych bandytów z nożami w zębach.

Że tak by niewątpliwie było, świadczy o tym artykuł w ateńskim dzienniku „Ethnikos Kyrix" z okazji zgonu Bernarda Shawa.

„Ze śmiercią Bernarda Shawa — czytamy w tym udającym obłąkanie artykule — współtowarzysze międzynarodowego komunizmu stracili jednego ze swych najnikczemniejszych agentów. Druga strona świata, strona uczciwa, pozbyła się inteligentnego bandyty. Tylko że śmierć zbyt długo zwlekała z nadejściem..."

Piedny Shaw — fabianista!

sl

Prousłowski bankiet czworonożnej arystokracji

Już od szeregu tygodni wiele mówi się w Ameryce o „surowości życia". Wszędzie ograniczenia, wszędzie walka z marnotrawstwem, wszędzie — „żelazna dyscyplina ekonomiczna". Wszędzie — to znaczy w małych domkach i mieszkaniach pracowniczych, bo z pewnością nie w pałacach.

Z „New York Daily News" (numer z dnia 26 grudnia ub. r.) dowiadujemy się właśnie, jak ta żelazna dyscyplina gospodarki nastawionej na zbrojenia wygląda u góry, w miejscach rozrywki możnych królów na przemyśle.

„W jednym z klubów nowojorskich — pisze sprawozdawca przytoczonego pisma, zamieniając świat „trytonów" Prousta na świat czworonożnej arystokracji — miał miejsce najosobliwszy w tym roku bankiet pod patronatem Ksantypy, słynnej kotki syjamskiej, która jest własnością księżny Heleny Tsulukidze, należącej do najwyższych sfer towarzyskich. Sto kotów i psów, mogących poszczycić się sławnymi przodkami, otrzymało zaproszenia wane złotą czcionką na papi linowym. Wśród znakomit różniał się szczególnie książ Habsburski, którego panen mniej ni więcej tylko arcyk striacki Franciszek Józef."

A teraz wyjątek ze szcze opisu zastawy i toalet:

W wielkiej sali klubowej no na podwyższeniu olbrzym barwny pasztet przybrany (materiał: mielona z tłusz troba), wyborowymi rybam nymi i specjalnie przyrz biszkoptami. Naokół cisnęło mnóstwo czworonożnych ków. Niejeden z nich miał płaszcz z gronostajów i nur

Śladami gesta

Komisja badania działal tyamerykańskiej w Kalifo szukuje „grubej ryby kom nej". Nazwisko poszu brzmi: Juliusz Fuc

Sprawa wydaje się tak dopodobna, że trzeba op jak do tego doszło.

Na uniwersytecie kali przeprowadzano badanie kich imatrykulowanych w waniu studentów nastrojo komunistycznie. W trakcie dania jeden ze studentó wiadując na któreś z pyta wał zdanie z powszechn książki „Reportaż spod Juliusza Fuczika, autora nie nagrodzonego wielką pokoju. Indagowany stud mniał niestety tytułu te i określił ją ogólnikowo ma Fuczika".

Norman Neni, ekspert nień komunistycznych w misji, wywnioskował z te prawdopodobniej chodzi o kumenty komunistyczne czone do wewnętrznego u tii komunistycznej. Zako swą myśl kolegom. O jednak posunął się Coombs, prokurator kom nia działalności antyamer Ten wykrzyknął:

— Musimy bezwzględni tać tego Juliusza Fuczika Gorliwych w tropieniu ności antyamerykańskiej ków nikt nie poinformo przedziło ich już w roku lerowskie Gestapo

KORESPONDENCJA

SPRAWY FILMU

FILM POLSKI NIE MOŻE LEKCEWAŻYĆ UCZESTNIKÓW KONKURSÓW FILMOWYCH

Na ostatnim zjeździe literatów oraz na szpaltach literackich czasopism (między innymi w Nowej Kulturze) mówiło się bardzo dużo na temat poszukiwania nowych kadr pisarzy. Jasne jest, iż zagadnienie to, wobec tak rewolucyjnych przemian społecznych, wysuwa się na czoło. Wszelkie jednak wypowiedzi i dyskusje na ten temat będą tak długo bezowocne, dopóki ci, pod których adresem stawia się zarzuty i pretensje nie zajmą wobec tego aktualnego zagadnienia postawy konkretnej i aktywnej. Dotyczy to między innymi organizatorów konkursów literackich, owych łowców niepoprawnych, łowiących wciąż „sobie tylko a nie muzom".

Jako nagrodzony uczestnik najpoważniejszego chyba ostatnimi czasy konkursu literackiego, zorganizowanego przez P. P. Film Polski, zachęcona otwartą dyskusją nad problemem kadr literackich, wypowiadam się w tej nieco osobliwej formie. Jest to niejako erupcja mojego żalu i oburzenia, mająca wytknąć Filmowi Polskiemu (jak i innym podobnie postępującym) brak zainteresowania dla kwestii tak bardzo aktualnych, a zbyt teoretycznych poszukiwaczy kadr literackich na łamach czasopism, natchnąć większą aktywnością.

LIST OTWARTY DO FILMU POLSKIEGO

Drogi Filmie Polski!

Mija już pół roku od chwili, gdy wyróżniając na konkursie literackim moją pracę przyznałeś mi nagrodę. Był to mój debiut. Niestety, mimo sukcesu, nie odniosłam pełnego zadowolenia, praca moja bowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa poszła w zapomnienie. Nasuwa mi się szereg refleksji odnośnie celu i osiągnięć konkursu oraz roli, jaką odegrał jego organizator — Film Polski. O ile mi jest wiadome w końcu 49-go roku został zorganizowany w Wiśle specjalny zjazd, na którym postanowiono ogłosić dwa konkursy literackie — zamknięty i otwarty. Według wypowiedzi ob. dyrektora Karpowskiego (w chwili rozdawania nagród laureatom konkursu otwartego) konkurs zamknięty przyniósł Filmowi Polskiemu zaledwie jedną zakwalifikowaną pracę. Po pół rocznym milczeniu Filmu Polskiego sądzić należy, że i konkurs otwarty nie spełnił pokładanych w nim nadziei, mimo pozytywnych wypowiedzi dyr. Karpowskiego w spotkaniu z laureatami. Jako jedna z nich, odnoszę wrażenie z perspektywy czasu, że ani Film Polski ani laureaci nie są zadowoleni z wyników. Zwycięzca o prawdziwym zacięciu pisarskim (a takich podobno szuka się dzisiaj ze świeczką) nie może zadowolić się pieniężną nagrodą. Udzielenie mu nagrody a jednocześnie przemilczenie jego pracy, musi wywołać w nim przykre refleksje, a nawet i zgorszenie. Wydaje mu się bowiem, że sukcesem swoim zmusił niejako organizatora do „jakiegoś" rozstrzygnięcia — przykre i konieczne następstwo szlachetnej w intencji inicjatywy.

Doprawdy zadziwiające jest, z jakim stoickim spokojem Film Polski przechodzi do porządku dziennego nad wynikami swych konkursów, w dobie, kiedy tyle się mówi i pisze na szpaltach dzienników literackich na temat szukania nowych kadr pisarskich: wystarczy wziąć n-ry ostatnie „Nowej Kultury" i „Wsi", aby się przekonać, jakich metod i wyszukanych sposobów chwytają się dyskutanci w gorączkowym szukaniu nowych kadr. Dlaczego Film Polski w takim momencie milczy? Wiadomym jest, że Film zajmuje się filmem. W chwili obecnej jednak zaciera się coraz bardziej charakter zadań filmu i literatury. Filmowi Polskiemu nie powinno być obce zagadnienie nowych kadr pisarskich. Jeżeli konkurs jako filmowy został chybiony, to nie można jednak tego powiedzieć o jego wartości literackiej. Moralnym obowiązkiem Filmu Polskiego było wypowiedzieć się na aktualny temat kadr literackich, albo też zwrócić uwagę opinii literackiej na rezultaty ogłoszonego konkursu. Dopóki jakiekolwiek instytucje urządzać będą konkursy same dla siebie, bez omawiania ich wyników na łamach czasopism, dopóty głosy uczestników Zjazdu Literatów, publicystów „Nowej Kultury" i „Wsi" będą głosem wołającego na puszczy. Jeżeli na 179(!) prac nadesłanych na poważny konkurs Filmu Polskiego nie ma ani jednej o wartościach literackich, to znaczy, że daremne są dzisiejsze wysiłki odkrywcze — powiedzmy sobie: nie mamy talentów, wyczerpały się — przestańmy mówić i pisać na ten temat. W takim jednak wypadku interesuje mnie za co Film Polski nagrodził pięć prac? Dowodzi to niechybnie, że Film Polski nagrodził ich wartość literacką? Dlaczego w takim wypadku karygodnie przemilczało się osiągnięte wyniki? Pytam, kto poza Filmem wie, za co przyznano mi nagrodę?

Drogi Filmie! Jeżeli zatem prace zasługiwały na publikacje, należało debiutantom w tym pomóc. Niestety, nie tylko nie pomogłeś, ale nawet nie ujawniłeś przed nimi tak cennej dla nich opinii jury, pozostawiając ich na pastwę własnej imaginacji.

Celina Żmihorska

Warszawa, Al. Świerczewskiego 84 m. 30.
Godło nagrodzonej pracy na konkursie otwartym „Filmu Polskiego" — „Korlik"

DOŚWIADCZENIE RADZIECKIE

W 40-tym numerze „Nowej Kultury" Jerzy Płażewski obszernie omówił sprawę scenariuszy filmowych, jasno wskazując niedociągnięcia i braki w tej dziedzinie oraz przeszkody, jakie napotyka Film Polski w zagadnieniu produkcji filmowej w wyniku braku dobrych scenariuszy.

Na marginesie pragnę poświęcić kilka słów metodom opracowywania scenariuszy filmowych w Związku Radzieckim.

Trudności, o których pisał J. Płażewski ma kinematografia radziecka poza sobą. Scenariusz filmowy stanowi w literaturze tego kraju zupełnie samodzielny rodzaj literacki, jest ideową i artystyczną podstawą przyszłego filmu.

Jednym z najważniejszych ośrodków twórczych radzieckiej dramaturgii filmowej jest moskiewskie biuro scenarzystów, założone w roku 1941. Na czele tej placówki stoją wybitni pisarze i reżyserowie, będący jednocześnie utalentowanymi i doświadczonymi scenarzystami. W studio tym opracowuje się najpoważniejsze dzieła kinematografii radzieckiej, powstały tu scenariusze takich filmów, jak „Zoja", „Miczurin", „Harry Smith odkrywa Amerykę", „Spotkanie nad Łabą" i wiele innych.

Wszechstronna, szeroka rozbudowa tej placówki pozwala pisarzom zasięgać rady specjalistów z najrozmaitszych dziedzin wiedzy. Jednocześnie przy studio czynna jest pracownia autorska, której współpracownicy na życzenie pisarza dostarczają mu wszelkiego rodzaju materiały konieczne do opracowania scenariusza.

Studio ułatwia scenarzy cieczki i podróże, by mogli gacić swoje zapasy wraże strzeżeń w celu jak najbar nego oddania rzeczywistoś pisarzom nie odmawia się mocy, jeśli o nią proszą. o trosce, jaką władze radzie wiązują do roli społecznej nej filmu.

Praca w moskiewskim narzystów przybiera róż Niejednokrotnie autor współpracuje z reżyserem, ten ostatni bynajmniej współtwórcą scenariusza, konsultantem. Często proz cy scenariusz, a którzy nie dostatecznie formy zwracają się z prośbą o u współpracy z przyszłym rem filmu lub zawodow rzystą. Wyniki tej wsp wprost wspaniałe. Tak po my o światowej dziś sław „Bitwa stalingradzka", k nariusz był owocem wsp siłków pisarza Mikołaja żysera W. Pietrowa, or szturm" pisarza A. Pier reżysera I. Sawczenki.

Opieka studio nad auto riusza nie kończy się je dzieleniu mu wszelkiego mocy. Po skończeniu pisa riusza, czytany jest on pr kich członków kolegium go studio, które na wspól wydaje o nim opinię, zale tualne poprawki. Dopiero riusz filmowy zostanie i wyszlifowany pod każd dem, kiedy odpowiada wymaganiom ideowym, ar i produkcyjnym, na jego realizuje się film.

Wprowadzenie tych m nad scenariuszami w Pol na zasadniczą trudność, wi brak kadr odpowied ców, ale, gdy w tej dzie gniemy oczekiwane rezul osiągnąć trzeba się zabr z całą energią), warto się ważnie zastanowić nad t

Elżbieta Mari

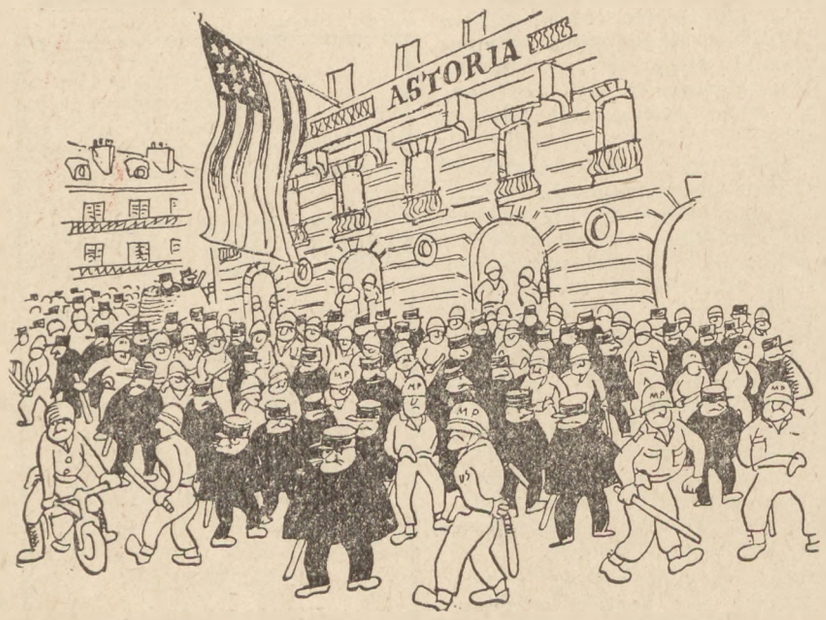

rys. Charlie

Entuzjaści generała Eisenhowera

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należ
prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro O
„Czytelnik". Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Sp. Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik", Warszawa Marszałkowska 3/5.